

PREZENTUJEMY

KRZYSZTOF KARASEK – poeta, tłumacz, krytyk literacki (rocznik 1937). Należy do najbardziej znanych poetów *Nowej Fali*. Jest autorem wielu tomów poezji, szkiców literackich i antologii oraz laureatem literackich nagród.

Wspomnienie z roku 1970

Jak kurczaki na wiosnę wysypują się młodzi poeci z kurnika oślepieni światłem jakiejś gwiazdy, Wenus, która pozbawia rozumu (o ile przedtem był), lub Marsa, który przy wtórze fanfar i jęków układa dramat. Na końcu Tanatos, syn Merkurego i pieśni zamyka sklepik z farbami, zawieszając na drzwiach tabliczkę *Zamknięte* i wychodzi. Krótko świeciła gwiazda nad Akroplem tego roku. Ledwie rozkwitła już musiała zgasnąć, a z nią cesarstwo Bizancjum i królestwo Danii.

Na czubku brzozy

Rzecz w tym, by wspiąć się na czubek brzozy i zobaczyć głowę Pana unoszącą się nad morzem innych głów, nie głowę, choćby czubek głowy. Albo uklęknąć jak najniżej, aby zobaczyć choć podeszwy sandałów kiedy tamtędy przechodzi. Kiedy byłem mały wspinałem się na brzozę, teraz klęczę, ale Pan od dawna tędy nie przechodził. Trwam więc w tej pozycji – rozdarty, ni to obłok, ni to proch.



Przemiany masek

Powiedziała, że nie da się żyć bez maski. Rzecz w tym, że każda jest gorsza od poprzedniej, Sybilla nie była bardziej przenikliwa gdy ściagała Edypa po drogach Judei, nowe karmią nas jeszcze pociechą ale nie zajmują się już naszym losem. Nie mają pojęcia o przemianie Konrada w Gustawa, choć wiedzą wszystko o przemianach imienia. Raz tylko ukazuje się twarz bez ostonek. Mówią, że śmierci nie ma tam, gdzie nie było narodzin.

Dzień Młodości w Izabelinie

10 maja br. od godz. 15.00 w parafii św. Franciszka z Asyżu w Izabelinie odbędzie się spotkanie wszystkich, którzy czują młodość w sercu. W rytm chrześcijańskiej muzyki, chwalcąc Boga, kosztując grillowe potrawy możesz spędzić z całą rodziną kilka popołudniowych godzin. Będzie mnóstwo atrakcji.

Zapraszają:
ks. Proboszcz oraz wspólnota parafialna z Izabelina

POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – Krzysztof Karasek 2
- NOWA, MARYJNA MIARA – ks. M. Gładysz CSMA 3
- NA SIEKIERKACH NIE ZGINIECIE – M. Damasiewicz 4
- GRZEGORZ – P. Smogorzewski 6
- NA KÓŁKACH Z UŚMIECHEM (cz. 5 – ostatnia) – M. Malinowska-Orfinger 7
- OD EWY – E. Ozga 8
- UWOLNIENIE OD BOGA – P. Skórzyński 9
- IMPRIMATUR – ks. B. Markowski CM 10
- UNIA I MY – J. Szczepanowski 11
- BÓG ZAPŁAĆ 2003 – LAUREACI – red. 12
- ŚWIADEK – opr. M. Wolnik 13
- PRZESTRZEŃ PAMIĘCI – E. Zdanowicz 15
- STUDIO OTWARTE – B. Fedyszak-Radziejowska 17
- Z POLSKĄ W SERCU – B. Nizieński 23
- MENADŻER – M. Rayzacher 24
- DROGOWSKAZY – E. Zdanowicz 25
- IV PRZYKAZANIE – M. Szreder 25
- ELIASZ – H. Oleschko 26
- MISJONARZE ŚW. RODZINY – Duszpasterstwo Powołań 27
- SMAK WOLNOŚCI – I. Sikora 28
- BYĆ KOBIETĄ – M. Przybysz 30
- ZNAK SPRZECIWU – M. Klecel 31
- MILCZENIE PANA PREZYDENTA – J. Wegner 32
- PUSTOSŁOWIE – J. Pruszyński 33
- TELOGIA CODZIENNOŚCI – P. Smogorzewski 34
- HIERARCHIA – MM 34
- DYSONANS POZNAWCZY – S. Michalkiewicz 35
- RETORYKA ZWYCIĘZCÓW – A.W. Pawluczuk 36
- JUBILEUSZ BEZ IKONY – J. Kossakowski 37
- BY PATRZĘĆ – J. Trammer 37
- NA MARGINESIE – A.W.P. 38
- ALBUM – rec. ks. E. Data CSMA 39

FOT. OKŁADKA I I II – G. Gałgka

Numer zamknięto 18 kwietnia 2003 r.

ks. Mieczysław Gładysz

Nowa, maryjna miara



Opowiadał mi kiedyś przyjaciel o chłopcu z pierwszej klasy podstawówki. Wracając ze szkoły powiesił się na płocie na paskach swego tornistra. Na szczęście udało się go uratować. Zapytany przez zrozpaczoną matkę: – *Dlaczego to zrobił?* – Odparł: – *Świat jest beznadziejny, nie warto żyć!* Należy dodać, że był on bardzo dobrym uczniem. Nie sprawiał też żadnych trudności wychowawczych. Więc: dlaczego?! – pytałem sam siebie.

W jednym zgadzam się z owym chłopcem: rzeczywiście beznadziejny jest świat, w którym *WIELCY* jednym gestem, jakby od niechcenia, zmiatają krocie prostych ludzi, jak pionki z szachownicy. Beznadziejny jest świat, w którym prezesi – niekoniecznie zamożnych instytucji – wyznaczają sobie premie (z różnych okazji) w wysokości przekraczającej ogólną sumę pensji miesięcznej całej załogi, podczas gdy liczba pozbawionych pracy i możliwości zarobkowania na życie zatrważająco wzrasta. Gdy miliony przymierają z głodu... Pieski jest świat, w którym sposobem na życie jest wojna, zabijanie życia...

Na szczęście z odsieczą idzie sama Boska Opatrzność. Bo przecież nie przypadkowo Papież ogłosił wielkie orędzie do świata o Bożym Miłosierdziu. Nie przypadkowo podkrakowskie Łagiewniki stały się światowym centrum Miłosierdzia.

A cóż to jest Miłosierdzie? To jest nowa miara aktywności człowieka za naszych dni. Nowa! Bo stare miary – takie, jak chociażby sprawiedliwość – opuszczają beznadziejnie ręce. Zasada *oko za oko* wygląda wręcz śmiesznie. Bo co zabitemu z oka czy zęba zabójcy?! Nonsens! A Chrystus nam mówi to, co i Apostołom dwa tysiące lat temu: – *Wy bądźcie bardziej niż sprawiedliwi! Wy bądźcie dobrzy! I to jeszcze jak? Jak Ojciec Wasz Niebieski! Wtedy osiągniecie spokój...*

Jakże słicznie tę prawdę umie odczytać polska pobożność ludowa! Na takie lekcje mądrości – mierzony sercem – przez wieki, w maju, gromadzi się przy kapliczkach maryjnych, Chrystusikach Frasobliwych, na rozstajach dróg – i śpiewem prosi Maryję, by zechciała rekomendować nasze polskie biedy Miłosiernemu Zbawcy. I prosi o rozsądek dla sprawujących władzę w Narodzie, o wielkie, rozumiejące serce. *Po górach, dolinach...*, wspaniałych katedrach i skromniutkich kościółkach płynie solidarne wołanie do MATKI i KRÓLOWEJ o nowy ład. A Ona, po dawnemu, po macierzyńsku pochyla się nad każdym z nas i powtarza to swoje: – *Cokolwiek Syn mój powie – czyńcie!* A Syn? Zarówno orędziem Papieża Polaka, jak i całą historią Sanktuarium Łagiewnickiego woła: **Za-ufajcie Miłosierdziu!**

W grudniowe popołudnie stanęłam przy ulicy Gwintowej 6. Pomiędzy małymi domkami jednorodziinnymi stoi olbrzymi kościół, obok niego, przy drzewie, niewielka kaplica. Miejsce jest ciche i przytulne, w oddali tylko tętni trasa Siekierska. Tu w 1943 roku 12-letniej dziewczynce ukazała się Matka Boża i Pan Jezus. Z księdzem proboszczem Janem Taffem, z okna plebanii, widzimy kobietę, która zapala przed kaplicą światło i kłania się. – To ona – mówi ksiądz proboszcz.

Na Siekierkach nie zginiecie

Marta Damasiewicz

Jest rok 1943 – zaczyna pani Władysława Papis. – Nad Warszawą widać lunę palącego się getta. Wraz z rodzicami wynajmowaliśmy mieszkanie na Siekierkach, przy ulicy Gościńiec 6, w drewnianym domu, na poddaszu. Na ulicach Siekierk spotykałam małego Żyda, który uciekł z getta. Widywałam też umysłowo chorego chłopca.

Na Siekierkach nie było kościoła.

Przy domu państwa Lewandowskich stał drewniany krzyż, tam zbieraliśmy się i śpiewaliśmy litanie i pieśni maryjne. 3 maja

1943 roku przyszedł od krzyża około godziny 21.00. Było spokojnie i widno. Usiadłam przy oknie i pomyślałam o małym Żydzie i umysłowo chorym chłopcu. W ich intencjach zaczęłam się modlić. Spojrzałam na ogród: kwitły drzewa, widok był piękny. Miałam już odejść, gdy nagle mój wzrok zatrzymał się na wiśni rosnącej najbliżej naszego okna. Na drzewie, w miejscu, w którym pień rozgałęzia się w konary, zobaczyłam postać młodej dziewczyny. Ubrana była w białą suknię koloru światła przepasaną niebieską szarfą. Na głowie miała welon. Ręce złożone, a w prawej dłoni różaniec. Stała na małym obłoczku. Drobne, białe kwiaty wiśni zdawały się

martwe przy tej Postaci. Tak była świetlista i podobna do Matki Bożej malowanej na obrazach.

Otworzyłam lufcik, przecierałam oczy i patrzyłam. Postać nie znikła. Uznałam, że należy godnie Matkę Bożą przywitać. Zaczęłam modlić się swoimi słowami, prosiłam w różnych intencjach: o skończenie wojny, nawrócenie grzeszników, ale Matka Boża czekała.

Ekonomia chrześcijańska, jako nowe i ostateczne przymierze, nigdy nie ustanie i nie należy się już spodziewać żadnego nowego objawienia publicznego przed chwalebny ukazaniem się Pana naszego, Jezusa Chrystusa (Sobór Watykański II, konst. Dei Verbum, 4).

W historii zdarzały się tak zwane objawienia prywatne; niektóre z nich zostały uznane przez autorytet Kościoła. Nie należą jednak do depozytu wiary. Ich rolą nie jest ulepszenie czy uzupełnienie ostatecznego Objawienia Chrystusa, lecz pomoc w pełniejszym przeżywaniu go w jakiejś epoce historycznej. Zmysł wiary wiernych, kierowany przez Urząd Nauczycielski Kościoła, umie rozróżnić i przyjmować to, co w tych objawieniach stanowi autentyczne wezwanie Chrystusa lub świętych skierowane do Kościoła (Katechizm Kościoła Katolickiego, 67).

Wówczas przypomniałam sobie, że w Łaskarzewie leżał ciężko chory mój wujek, poprosił o zdrowie dla niego, dodając: – *A jeśli nie wyzdrowieje, zabierz go do nieba, do siebie Matuchno Kochana...* – Matka Boża zrobiła ćwierć obrotu i po chwili zniknęła. Nie widziałam twarzy, była zakryta welonem.

Gdy mama wróciła do domu, opowiedziałam jej całe zdarzenie a potem tacie, gdy wrócił z pracy, po drugiej zmianie. Rodzice postanowili całe zdarzenie zachować w tajemnicy.

Następny dzień zdawał mi się świętym. Wieczorem podeszłam do okna, ale Matki Bożej nie zobaczyłam. 5 maja

1943 roku wróciłam od krzyża po naszym nabożeństwie. Było to około godziny dziesiątej. Ukłękłam przy łóżku i mówiłam pacierz. Bałam się podejść do okna. Ogarniała mnie trwoga. Pomyślałam, że jeśli tam była Matka Boża to nic złego mi stać się nie może. Podeszłam, ukłękłam i zaczęłam odmawiać *Zdrowaś Maryjo...* I wówczas zobaczyłam wielką jasność, i w tej jasności cudną Matkę Bożą. Była bardzo młoda, mogła mieć piętnaście, szesnaście lat. Ubrana, jak poprzednio, ale już nie zakrywała twarzy welonem. Miała piękne blond włosy, niebieskie oczy, uśmiechała się.

17 maja 1943 roku, około godziny dwunastej, kiedy byłam na podwórku, zobaczyłam Matkę Bożą na wiśni. Ukłękłam tam, gdzie stałam i zaczęłam śpiewać, żeby Matkę Bożą przywitać. To zwróciło uwagę ludzi. Pani Lewandowska, pani Kolańska i sąsiadki przyszły, ukłękły i zaczęły się modlić.

21 maja 1943 roku obok Matki Bożej zobaczyłam kamienną tablicę, na której była cyfra X. Uważam, że Matka Boża chciała przypomnieć, o zachowywaniu **Przykazań Bożych**.

27 maja, obok Matki Bożej, zobaczyłam wstążkę z jasności, na której złotymi literami było napisane: **Śpiewajcie i módlcie się tu do Mnie**. Matka Boża powiedziała: – *Idź do księdza szkolnego, żeby kazał postawić kaplicę*. – Mamy nie było w domu, więc pani Lewandowska wybrała się ze mną do księdza. Ksiądz powiedział, że *jest okupacja i ani krzyża, ani kaplicy stawiać nie wolno...* W różnych objawieniach widziałam rozwój tego miejsca. Najpierw małą kapliczkę. Potem kościół, później jeszcze większą świątynię. Widziałam też dzwonnice i sprzęty kościelne.

Kiedy dzieci dowiedziały się, że Matka Boża się mi objawia, zaczęły



foto: P. Żywieński

przychodzić do nas do domu ze szkoły na *Anioł Pański*. Potem wieść się rozniosła, a ilość ludzi z każdym dniem wzrastała. Ludzie, idąc do nas na modlitwę, musieli przechodzić obok szkoły, a tam stacjonowały wojska niemieckie, ale Niemcy nigdy nie reagowali.

28 czerwca 1943 roku zobaczyłam Matkę Bożą, a po chwili Pana Jezusa. Był ubrany w białą suknię, na ramionach miał białe płaszcz przepasany białym sznurem. Włosy miał koloru kasztanowego, spadające na ramiona, był bosy. Miał wyciągnięte ręce, jakby cały świat chciał do siebie przyciągnąć, a w promieniach widniało Serce. Widać było rany po gwoździach. Za Panem Jezusem stał krzyż, podtrzymywany przez dwóch aniołów.

W postaci Pana Jezusa był wielki majestat i powaga, a jednocześnie tylko dobroć. Pan Jezus mówił o swojej męce na krzyżu, mówił o wielkim miłosierdziu, mówił, że *grzechy, choćby były jak szkarlat, nad śnieg wybielają...* Mówił, że czeka na nas w Najświętszym Sakramencie. Prosił, aby nie przechodzić obojętnie obok kościołów.

Mama też modliła się, ale i bardzo martwiła się czy nie jestem chora. Poszła do mojego wychowawcy, by dowiedzieć się czy nie zauważył zmian w moim zachowaniu, w nauce. Nauczyciel skontaktował nas ze swoim znajomym psychiatrą. Jeździłam do tego doktora. Badania trwały kilka godzin. Podczas ostatniej wizyty było u niego kilku lekarzy. Przy nich opisał moje objawie-

nia, potem powiedział, że jestem zdrowa, a jego koledzy – lekarze mogą jego oświadczenie potwierdzić.

31 lipca 1943 roku Matka Boża powiedziała: – *Módlcie się, bo na was idzie wielka kara, ciężki krzyż. Nie mogę powstrzymać gniewu Syna Mojego, bo się lud nie nawraca. Klęcz codziennie do 6 sierpnia, od godziny 12.00 do 15.00 i prosz o przebłaganie za grzechy całego świata*.

Wiśnia, na której objawiała się Matka Boża, stała na prywatnej posesji państwa Lewandowskich. Żeby tam dojść, należało przejść posesję państwa Pisańców. Obie rodziny nie robiły trudności. Zbieraliśmy się na modlitwie między grzędami ziemniaków i warzyw. Na wiśni powiesiłam obrazek.

12 sierpnia 1943 roku powieszono maleńką kapliczkę, którą kupił pan Bazyl Halczy. A oto historia kapliczki. Opowiada **Bazyli Halczy**:

– *Tylko raz widziałem wizjonerkę na modlitwie. Obserwując małą Władzię, doszedłem do wniosku, że ona naprawdę widzi Matkę Boską. Postanowiłem na wiśni objawień powiesić kapliczkę. Tym zamiarem z nikim się nie dzieliłem. Kupiłem kapliczkę i miałem ją już w domu. Jakże byłem zaskoczony, gdy mała Władzia z kilkoma osobami przyszła do mnie po kapliczkę, bo tak jej powiedziała Matka Boża...*

Pani Władysława kontynuuje: – W naszym domu stała figura Matki Boskiej. Zawsze przed nią paliła się

lampka. Gdy mówiliśmy *Anioł Pański*, lampka zgasała. Matka Boża powiedziała: – *Idź, zapal lampkę, przynieś różaniec*. – To były pierwsze słowa, które Matka Boża powiedziała do mnie. Głos Matki Bożej zawsze słyszałam bardzo wyraźnie. Przenikał całą moją duszę. Zaczęła ze mną odmawiać różaniec, prowadziła naszą modlitwę. Mówiła, jak mamy się modlić i zaśpiewała pięknym głosem: *Witaj nam, śliczna Jutrzenko, Niepokalana Maryjo Panienko, witaj nam, witaj, Matko Jedyna, niech nas obroni Twoja przyczyna...* Do dziś śpiewamy tę pieśń w kaplicy. Hymnem Siekierk stała się pieśń *Królowej Anielskiej śpiewajmy...*

Niemcy codziennie chodzili na forty, gdzie ćwiczyli i mijali tłum modlących się ludzi. Często śpiewaliśmy *Boże coś Polskę*, a była to pieśń zakazana. Nikomu nic się nie stało, nigdy nikogo nie zaceplili. Matka Boża dodawała otuchy, mówiła: – *Na moje słowa mogą gwiazdy spadać i słońce się zaćmi, ziemia się rozstąpi i będą przepaść, choćbyś cierpiała, nie bój się, bo jestem z tobą...* Pamiętam też takie słowa Pana Jezusa: – *Choćby z nieba starczysty ogień leciał, a ty będziesz pod gołym niebem, jeśli będziesz ufala Mnie i Matce Mojej, nie zginiesz*.

15 sierpnia w 1943 roku zobaczyłam wielką górę, jak gdyby kopiec. Na szczycie tej góry stała Matka Boża i pan Jezus. U jej podnóża było mrowie ludzi, różne ubranych i w różnych habitach. Wszyscy ludzie wspinali się na szczyt. Mimo że było to mrowie ludzi, każdy szedł swoją własną drogą. Ale nikt nie doszedł nawet do połowy, wszyscy jednak zdążyli do Matki Bożej, do Pana Jezusa. Jednak ludzie chcieli znaku, chcieli być pewni, że to Matka Boża do nas przychodzi. Wówczas Matka Boża powiedziała: – *Niedługo zadzwonią dzwony i wszyscy uwierzą, że tu byłam*. – W 50-lecie objawień zadzwonił tu dzwon, a w ustanowienie sanktuarium – jeszcze cztery dzwony.

17 sierpnia 1943 roku Maryja powiedziała: – *Bóg nie chce ludzi karać, Bóg chce ratować ludzi przed zagładą. Bóg żąda nawrócenia*. ⇨

2 września 1943 roku Matka Boża powiedziała: – *Obieram ten dzień na święto Matki Bożej Nauczycielki Młodzieży, a to miejsce jest szczególnie dla dzieci i młodzieży...*

8 września 1943 roku zobaczyłam Matkę Bożą w pozycji siedzącej. Była ubrana w białą suknię, na ramionach miała zarzucony niebieski płaszcz królewski, spięty złotą klamrą, na głowie koronę. Na kolanach trzymała dzieciątko w białej sukience – też miało koronę. Była starsza, wyglądała na około 30-40 lat. Uśmiechnęła się i powiedziała: – *Popatrz, jaki jest mój majestat. Nie bójcie się, okryję was swoim płaszczem.*

30 września 1943 roku usłyszałam takie słowa: – *Sluchaj Mnie, sluchaj Kościoła Świętego. Bo kto słucha Kościoła Świętego, ten słucha Mnie i Syna Mojego...* A w październiku tego roku prosiła też, by uczyć dzieci różańca.

8 lutego 1944 roku Maryja powiedziała słowa bardzo ważne: – *Przyszłam do was, abym wiedzieli, że gdy będziecie szli śladami Moimi, nie zginiacie.*

We wrześniu 1944 roku powiedziała: – *Będę chodziła po ziemi, będę nawiedzała wieś i miasta, będę pukała do drzwi waszych...*

Powstanie Warszawskie – przeżyliśmy je w Zalesiu Górnym. Zaraz po zakończeniu wojny poszłam na Siekierki. Wszystkie domy na Siekierkach zostały spalone przez Niemców. Zachował się ogród, wiśnia z kapliczką i obraz Pana Jezusa. Nawet szyba w kapliczce była cała, tak jak wcześniej zapowiedziała Matka Boża. Ludzie znów gromadzili się wokół kapliczki. Przychodzący na modlitwę pielgrzymi przynosili ze sobą cegły ze zburzonej stolicy. I tak, jeszcze w czasie objawień wybudowano pierwszą kapliczkę. Matka Boża powiedziała, żeby przychodzić na modlitwę 3 i 28 każdego miesiąca. Przychodzili załamani, płaczący. Matka Boża mówiła o swoich cierpieniach, o tym, że porodziła Syna Bożego, że stała pod krzyżem. Mówiła zwyczajnie: – *Nie opuszczajcie rąk, weźcie krzyż swój i różaniec, idźcie po drodze ciemistej, a dojdziecie do zbawienia...*

Ostatnie objawienie przeżyłam 15 września 1949 roku. Pan Jezus powiedział: – *Przyszędłem przypomnieć wam, że jestem z wami. Zbliża się czas, w którym Syn Boży został wydany i ukrzyżowany. Krzyżują Mnie ci wszyscy, którzy Mnie znieważają. Wynagradzajcie za nich. Brańcie Mnie, albowiem Ja was kiedyś obronię. Zbliża się czas, kiedy świat zaginie. Nie odchodźcie ode Mnie, którzy Mi służycie. Odchodzę, a wy zanoście prośby do Matki Mojej, bo Ona was teraz słucha...*

W trakcie objawień mój katecheta ks. Feliks Szmít kazał spisywać mi ich treść. **Dzienniczek** jest przygotowywany do druku. Już podczas objawień ludzie doznali tutaj wielu łask. Tak jest do dzisiaj.

Kapliczkę przebudowywano pięć razy. 4 października 1970 roku ks. kardynał Stefan Wyszyński był na Siekierkach i powiedział: – *Jeśli nie ja, to mój następca zbuduje tu świątynię, aby Matka Boża otrzymywała należną chwałę.* Od 1980 roku opiekę nad tym miejscem sprawuje o. Edward Szajor – pijar, odelegowany przez ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego do tworzenia ośrodka duszpasterskiego na Siekierkach. Aby mogło powstać miejsce kultu kilka rodzin oddało swoje posesje i tak między maleńkimi domkami, dzięki ogromnemu wysiłkowi o. Szajora i ludzkiej pomocy, pomimo wielu kłopotów, 31 sierpnia 1997 roku ks. Prymas Józef Glemp erygował Sanktuarium pod wezwaniem **Matki Bożej Nauczycielki Młodzieży**.

Dzisiaj w Sanktuarium każdego 3 i 28 dnia miesiąca odbywają się czuwanie modlitwne, a w sobotę przed trzecią niedzielą miesiąca – nocne czuwanie. Zaś w każdy 11 dzień miesiąca odprawiana jest Msza św. w intencji chorych i osób opiekujących się chorymi, podczas której można zostać zaopatrzoną w sakrament namaszczenia chorych. Na wspólne modlitwy gorąco zapraszają Ojcowie Pijarzy i pani Władysława.

Marta Damasiewicz

Grzegorz

Dzisiaj Grzegorz Przymek byłby czterdziestolatką i – jak jego koleżdy i koleżanki z klasy – zapewne prowadziłby, potykając się o problemy, których nikomu nie szczędzi obecny czas, mniej lub bardziej ustabilizowany żywot. Oczywiście nie wiadomo, czy miałby pracę. Jednak równie dobrze możemy sobie wyobrazić, że nie byłby, jak wielu jego rówieśników, bezrobotnym, a na przykład założyłby jakiś znakomicie prosperujący interes. Najprawdopodobniej chyba stałby blisko sztuki. Kochał przecież literaturę i muzykę. Sam próbował pisać wiersze.

Młodzieńcza wrażliwość nie uchroniła go, niestety, od zemsty milicyjnych pałkarzy, którzy ręką w rękę ze **Służbą Bezpieczeństwa** coraz mocniej zaciskali pętlę szyszan i strachu wokół matki Grzegorza – opozycyjnej poetki **Barbary Sadowskiej**. Skatowany w noc, na początku maja 1983 roku, w przekształconym teraz (jak na ironię) w ekskluzywną restaurację, posterunku **MO** przy ulicy Jezuckiej na warszawskim Starym Mieście, zmarł po kilkunastu godzinach. Trumnę z jego umęczonym ciałem przeniesiono w liczącym kilometry kondukcje z kościoła św. Stanisława Kostki na Powązki. W rozgrzanym wiosennym słońcem powietrzu wisiał niemy krzyk rozpacz i żalu tysięcy uczestników pogrzebu. Wspólną modlitwą kojono smutek bezradności.

Coraz mniej płonie zniczy na jego grobie. Za to Goebels *stanu wojennego* nocami, równie ciemnymi jak ta, kiedy umierał Grzegorz, biesiaduje i załatwia polityczne interesy z publicystą, którego artykuły w niejednym rozbudzały marzenia o lepszym, uczciwszym świecie.

Dwudziesta rocznica tragedii... Żal... Smutek bezradności... I wstyd!

Paweł Smogorzewski

REPORTAŻ

Porażenie mózgowe dziecięce objawia się bardzo różnie i z różnym nasileniem. Niektórzy mają niedowład jednej ręki, a inni nie są w stanie nic zrobić samodzielnie. Ewa mówi, że miała szczęście – cierpi na spastyczne porażenie nóg i częściowo rąk, z przewagą porażenia lewej strony ciała. Porusza się na wózku, ale może sama jeść, sama się ubrać, umyć... Umysł ma całkowicie sprawny, a zdarza się, że choroba ta upośledza także umysłowo. Poza tym urodziła się w Warszawie – gdyby mieszkała w małym mieście czy na wsi, mogłaby podzielić losy setek dzieci, które nigdy nie były rehabilitowane, nie uczyły się. Niektóre z nich są ukrywane przez swoich rodziców w domach, jakby były jakimiś potworami...

Na kółkach z uśmiechem

Magdalena Malinowska-Orfinger

W tym optymistycznym spoglądaniu we własną przyszłość utwierdzają ją także sąsiedzi z bloku. Z kilkoma sąsiedzkimi rodzinami Ewa i Kryśka są szczególnie zaprzyjaźnione i na ich pomoc zawsze mogą liczyć (mama Ewy jest osobą w podeszłym wieku i mocno schorowaną), ale także inni okazują im swoje zrozumienie i akceptację. Nawet miejscowe urwisy traktują Ewę z szacunkiem i są dla niej bardzo uczynne – a to przytrzymują drzwi, a to pomagają zjechać ze schodów.

No i przyjaciele. Tylekroć wypróbowani. Na nich zawsze może liczyć...

Ale żeby żyć w pełni samodzielnie, niezbędna jest Ewie winda, która umożliwiłaby jej wychodzenie na dwór. Bez niej nie może sama ruszyć się z domu.

Ewa myślała już o rozwiązaniu tego problemu. Winda zainstalowana byłaby na balkonie i zjeżdżałaby na parter do ogródka sąsiadów. Sąsiedzi już wyrazili na to zgodę – bez żadnego wahania. Prawdziwym problemem jest jednak sama winda, dla której dodatkowo potrzeba wybudować szyb i podjazd z osiedlowego chodnika. Firma, która zajmuje się wykonywaniem takich prac, wyceniła na 80 tysięcy złotych.

Ewa nie ma tak dużej sumy pieniędzy. Rozmawiała jednak w Gminie

z urzędnikami odpowiedzialnymi za pomoc osobom niepełnosprawnym. Okazało się, że mogą Ewie dać połowę tej kwoty pod warunkiem jednak, że drugą połowę dostanie od spółdzielni, do której należy jej mieszkanie.

– *Spółdzielnia nie chce przyznać mi tych pieniędzy. Uważają, że moja mama, wiedząc, że jestem osobą niepełnosprawną, w ogóle nie powinna brać takiego mieszkania jak nasze, że już wtedy powinna myśleć o mojej przyszłości i starać się o mieszkanie odpowiednio dla mnie przystosowane. Przynajmniej, żeby było na parterze. A przecież to były zupełnie inne czasy. Na mieszkania czekało się latami. My chcieliśmy jak najszybciej zamieszkać same. Na Marszałkowskiej mieszkaliśmy przecież w szóstce w dwóch pokojach z kuchnią...*

Zarzutów spółdzielni są dla Ewy i jej mamy dodatkowo przykre, gdyż, kiedy kilka lat temu starały się o zamianę mieszkania na lokal na parterze, nie okazano im żadnej pomocy. Cały czas słyszały, że nie ma takiej możliwości. Po pewnym czasie zaczęły szukać na własną rękę. Niestety, żadna oferta nie spełniała ich podstawowych wymagań – a to ktoś chciał wymienić mieszkanie większe na mniejsze i żądał rekompensaty finansowej, a to znów proponowa-

(cz. 5)

ny lokal był zrujnowany i wymagał całkowitego remontu itp. W końcu zrezygnowały z tego pomysłu.

Teraz spółdzielnia proponuje Ewie zamianę mieszkania na lokal na parterze. Ona jednak nie chce się na to zgodzić, jej obecne mieszkanie jest już przystosowane do potrzeb osoby na wózku inwalidzkim. Tą nową byłoby całkowicie niedostosowane. Musiałaby zaczynać wszystko od początku. Remont obecnego kosztował 30 tys. zł. Nie wierzy, że PFRON przyznałby jej pieniądze na adaptację kolejnego mieszkania. Dlatego walczy, żeby zostać w tym i otrzymać pieniądze na windę.

Spółdzielnia kazała jej szukać tańszych rozwiązań. Jedynym wchodzącym w grę jest platforma, która zwoziłaby ją z wysokiego parteru, do którego dojeżdża winda, na klatkę schodową znajdującą się na poziomie ziemi. Wiele osób, nawet te, które zajmują się sprzedażą takich urządzeń, odradza jej instalowanie takiej platformy w bloku. Ona sama też jest temu przeciwna – po pierwsze takie urządzenie bardzo często się psują, po drugie platforma – nawet złożona – tarasowałaby prawie całe schody, a po trzecie jest tylko o 2 tysiące tańsza od windy.

Mówi, że zrobi wszystko, aby zainstalowano u niej windę. Na razie prosi o pieniądze spółdzielnię mieszkaniową. Jeżeli nie dostanie od niej dofinansowania, będzie próbowała je otrzymać z innych źródeł.

Pocieszeniem jest, że gmina cały czas podtrzymuje swoją ofertę pokrycia 50% kosztów windy i jej instalacji. Gminni urzędnicy starają się nawet pertraktować ze spółdzielnią w sprawie Ewy. Ale nawet oni nie mogą nic załatwić.

Ewa zastanawiała się, czy nie poinformować o całej sprawie mediów. Może ich interwencja coś by dała. Ale jedna z gminnych urzędniczek, która zajmuje się sprawą likwidacji barier architektonicznych, odradza jej to. Argumentowała to tak, że rozgłos w mediach mógłby całkowicie zablokować

tę sprawę. Podobno kiedyś już tak było. Mimo zainteresowania dziennikarzy lub, jak uważają niektórzy, właśnie z tego powodu spółdzielnia stanowczo odmówiła komuś pomocy. I nie pomogła mu do dzisiaj. Z drugiej strony Ewa starała się już nawiązać kontakt z fundacją *Nasz Dom*, która została powołana specjalnie w celu przełamywania ograniczeń architektonicznych dla osób niepełnosprawnych. Jednym z członków tej organizacji jest *Gazeta Wyborcza*. Ewa rozmawiała nawet z dziennikarką, która jest w piśmie odpowiedzialna za współpracę z fundacją. Pani redaktor wyglądała na szczerze przejętą, obiecała pomoc. Miała zorientować się w sprawie i zadzwonić do Ewy, gdy już cokolwiek będzie wiedziała. Tę obietnicę dała ponad rok temu. Nie zadzwoniła do dziś. Kiedy Ewa sama próbowała się z nią skontaktować dowiadywała się, że albo nie ma jej w pracy, albo jest bardzo zajęta i za chwilę oddzwoni...

Czyżby dziennikarka *Gazety Wyborczej* przestraszyła się jednej zwykłej warszawskiej spółdzielni?

Sama Fundacja także nie wykazuje zainteresowania tą sprawą.

Ewa nie traci jednak nadziei. Uważa, że w ten czy w inny sposób uda się jej zrealizować swoje plany. Musi je zrealizować. Od tego może zależeć cała jej przyszłość.

Koniec



foto: P. Zychliński

Od Ewy

Długo zastanawiałam się, co mogłabym napisać od siebie. Czytając powyższy reportaż miałam wrażenie, że przyglądam się dobrej znajomej i śledzę kolejne etapy jej życia, to sympatyczna postać, fajna dziewczyna – kto by pomyślał... jest w niej tyle optymizmu i woli życia.

Teraz zastanawiam się, na ile obraz tej postaci jest prawdziwy... jaka jestem, a raczej, jak postrzegam siebie samą. Wiem, że nie zawsze jestem tak radosna i pełna nadziei... mam czasem trudne dni i wtedy wszystko czarno widzę. Przyczynia się do tego fakt, iż **nie mogę samodzielnie wydostać się z domu**. Moją zmurą jest bariera architektoniczna w postaci ośmiu schodów na klatce schodowej (mieszkam na pierwszym piętrze, na dół zjeżdżam windą, pozostaje jednak tych kilka schodów, które uniemożliwiają mi wyjechanie wózkami na zewnątrz). Dostaję **białej gorączki** – mogę tylko patrzeć na mój piękny wózek elektryczny i marzyć o tym, że ktoś się nade mną ulituje – pomoże mi wydostać się z domu (zaznaczam, że mój pojazd waży 75 kg).

Nie chcę użalać się nad sobą, chcę żyć najlepiej, jak potrafię – **podjęłam więc walkę ze schodami...** Na razie przegrałam pierwszą rundę – Spółdzielnia Mieszkaniowa **Górczewska** robi wszystko, abym zniechęciła się do całej sprawy, ich odpowiedź brzmi jak wyrok – **brak funduszy na likwidację barier architektonicznych**. Zasugerowano mi, abym przeprowadziła się na parter, wyrażano przy tym **święte oburzenie** – jak mogę prosić o sfinansowanie tak kosztownej inwestycji. Argumenty, że obecne mieszkanie jest przystosowane do moich potrzeb i przeprowadzka w tej sytuacji byłaby jednoznaczna z rezygnacją z czegoś, o co przez wiele lat walczyłam – niezależności i samodzielności w własnym mieszkaniu, nie trafiają do urzędników. Liczą się pieniądze, człowiek jest nieważny... Wciąż zadawałam sobie wciąż pytanie – czy rzeczywiście zabrakło pieniędzy, czy też

dobrych chęci ze strony Spółdzielni Mieszkaniowej?

Dziś już znam odpowiedź... Potwierdzają następujące fakty – zakład pracy, w którym jestem zatrudniona, zaproponował mi pomoc finansową. Musiałabym jednak otrzymać ze Spółdzielni decyzję na piśmie zawierającą deklarację – ile pieniędzy Zarząd Spółdzielni przeznacza na powyższy cel i wstępny kosztorys zakupu i montażu windy (aby wiadomo było ile pieniędzy jeszcze brakuje). Pełna entuzjazmu przekazałam radosną wiadomość prezosowi spółdzielni... no i cóż, do dnia dzisiejszego nie otrzymałam konkretnej odpowiedzi...

Zamknięto rok budżetowy – fundusze deklarowane przez Urząd Gminy – przepadły, również propozycja dofinansowania ze strony mojego zakładu pracy jest nieaktualna. Niebawem miną dwa lata od czasu, kiedy rozpoczęłam **walkę ze schodami**. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić w tej sprawie – czuję się bezradna.

Ktoś zapyta, gdzie podziła się pełna entuzjazmu i optymizmu dziewczyna?

Gdzieś jest, tylko nie zawsze potrafi się usmiechać. Każdy z nas ma dobre i złe dni... niezależnie od tego, czy jest w pełni sprawny, czy też boryka się ze swoimi problemami – niesprawnością fizyczną czy umysłową. Uważam, że niepełnosprawność nie stanowi najważniejszego aspektu mojego życia. Może czasami sprawia, że borykam się z większą ilością przeszkód niż przeciętny – pełnosprawny człowiek, ale to nie jest najważniejsze. Istotne dla mnie jest to, że mogę żyć pełnią życia, mam przyjaciół, dobrą pracę i świadomość, że jestem pełnowartościowym człowiekiem. Taka świadomość potrzebna jest każdemu, sprawia, że życie nabiera barw, ale najpierw trzeba polubić siebie. Wiem, że to nie zawsze jest proste i nie dokona się tego z dnia na dzień i raz na zawsze. To jest żmudny proces. Mogę powiedzieć, że generalnie akceptuję siebie taką, jaka jestem, jednak mięknie krzyż, jak każdy człowiek. Niemniej jednak często się usmiecham...

Ewa Ozga

Piotr Skórzyński

Uwolnienie od Boga

Iwan Bunin, jeden z niewielu pisarzy rosyjskich, których nigdy nie ciągnęło do lewicy, pozwolił sobie kiedyś na tzw. *krwawą ironię* w stosunku do autora **Biesów**: Jednego nie pojmuję – po co Dostojewski do swoich kryminałów pakuje Jezusa Chrystusa? Bo też religijność największego pisarza rosyjskiego może budzić poważne wątpliwości. Nawrócenie Raskolnikowa na katordze to tylko jedno zdanie na końcu książki i, w dodatku, sformułowane w czasie przyszłym: jako zapowiedź nowego poglądu na życie. W **Braciach Karamazow** wiarę reprezentuje chłopiec – Alosza. Zauważmy, że Dostojewski w **Legendzie o Wielkim Inkwizytorze** wprowadza nawet postać samego Syna Bożego – ale On nie otwiera ust!

Nietzsche nazywał chrześcijaństwo wymysłem żydowskich nędzarzy, którzy zmówili się, by w ten sposób zniszczyć cywilizację swoich rzymskich panów (choć tak, jak we wszystkim, nie był tu całkiem konsekwentny w swoich, nie zawsze jasnych, wywodach). Lenin organicznie nienawidził religii. Często zapomina się, że ludobójstwo Stalina na chłopach poprzedziła leninowska eksterminacja duchowieństwa na początku lat 20-tych i to przeprowadzona z iście azjatyckim okrucieństwem (zdarzało się, że czekieści przybijali popów do krzyży). Nie zapominajmy, że mistrzem dla Marksa i jego uczniów był Darwin – a dokładnie *społeczny darwinizm*, który siał wówczas spustoszenia w umysłach inteligencji, i od którego sam Darwin, po wielokroć, próbował się dystansować.

Trzeba mocno podkreślić, że nauka prawdziwa, czyli taka, która wyraźnie zaznacza różnicę między teorią a empirią, nie miała wiele wspólnego z czere-dą ideologów, którzy na początku XX wieku się na nią powoływali. Można by ją porównać do powolnego hipopotama cierpliwie znoszącego – często z nieświadomości ich istnienia – gromadę ptasich czy owadzych pasożytów, które na nim żerują. Coś takiego zdarzyło się już przecież sto lat wcześniej, gdy z idei *porządku naturalnego* i pochodnej od niej zasady *wolnej konkurencji*, które ogłosili fizjokraci, encyklopedyści wy-

wiedli zasadę *deizmu* a potem *absolutyzmu* (oświeconego).

Deizm ten okazał się, u najgłośniejszych *oświeconych*, po prostu *ateizmem* – a stąd wzięła się, wkrótce potem, ideologia głosząca, iż prawa natury to właśnie odwrotność (przynajmniej polityczna) *naturalnego porządku* fizjokratów. Kiedy bowiem przypominamy zaciętość antychrześcijańskiej kampanii intelektualistów i ideologów *modernizmu*, trzeba zauważyć, że była to druga, wzmocniona fala *bezbożności*, która – jak ją opisuje Tocqueville w swoim sławnym dziele – *stała się* (w XVIII-wiecznej Francji – PS) *namiętnością ogólną, żarliwą, nietolerancyjną i przytłaczającą...*

Błyskotliwa i głęboka analiza Tocqueville'a jest zbyt obszerna, by ją tu przytaczać *in extenso*; poprzestańmy na jego generalnej konkluzji: – *furia, z jaką we Francji zaatakowano religię chrześcijańską*, wzięła się, jego zdaniem, stąd, iż *absolutyzm monarchii oświeceniowej nie dawał pola do wyładowania się publicystycznej energii w dziedzinie jej przypisanej, czyli ściśle politycznej*. Jak zauważa, *deizm i ateizm szerzyły się też w Anglii i Ameryce*, ale tam zostały powstrzymane przez filozofów *fideistycznych* i społeczeństwo, które ich poparło.

We Francji Ludwika XVI natomiast wytworzyła się sytuacja niezwykle podobna do Rosji Mikołaja II: samozwań-

cza reprezentacja społeczeństwa złożona z literatów, filozofów i sfrustrowanych (lub znudzonych) arystokratów, których słabe represje jedynie pobudzały i ozdabiały nimbem *męczenników*. To też dla naszych potrzeb najprościej będzie przytoczyć głęboką refleksję klasyka francuskiego *liberalizmu* na temat duchowych przyczyn *Revolucji* w kraju tak długo nazywanym *najstarszą córką Kościoła*: – *Próbując wyróżnić rozmaite skutki, jakie bezbożność wywołała do wniosku, że różne krańcowe i bezprzykładne poczynania ówczesnych ludzi znacznie bardziej wynikały z rozstrojenia umysłów, niż ze spalenia serc czy nawet zepsucia obyczajów... A przecież bezbożność stała się wówczas źródłem nieobliczalnego zła społecznego*.

We wszystkich prawie wielkich *rewolucjach politycznych*, jakie świat znał do tej pory, ci, co porywali się na *ustalone prawa*, nie tykali *wierzeń* – a w wierności *rewolucji religijnych* ci, co atakowali *religię* nie dążyli jednocześnie do *zmian natury i porządku wszystkich władz ani do całkowitego obalenia dawnej struktury rządu*. Czyli zawsze *podczas największych społecznych wstrząsów jakiś punkt pozostawał stały*.

Ale podczas rewolucji francuskiej, która obaliła równocześnie i *prawa religijne*, i *prawa świeckie*, *duch ludzki stracił całe swoje oparcie: nie wiedział już, czego się uchwycić, ani gdzie się zatrzymać. I oto pojawili się rewolucjonści nie znanego dotąd gatunku, którzy odwagę spotęgowali do szaleństwa, których żadna nowość nie mogła zadziwić, żaden skrupuł zahamować i którzy nigdy nie wahali się przed wykonaniem żadnego zamiaru. I nie należy sądzić, że ten nowy rodzaj ludzkich istot był tylko jednorazowym tworem chwili, mającym przeminąć wraz z nią. Powstało z nich plemię, które dotąd, odradzając się i ogarniając coraz nową obszar cywilizowanego świata, wszędzie zachowało to samo oblicze, te same pasje, ten sam charakter. Zastaliśmy je, przychodząc na świat i wciąż mamy je przed oczami...*

Gdyby mógł przypsuścić... ■

AKTUALNOŚCI NIECO OMSZAŁE

Najpierw cytaty z prasy parafialnej: *Kilka lat temu z pótek księgarń usunięto książkę pt. Szatan istnieje naprawdę. Czy jednak w ten sposób można unicestwić szatana?* Dziś pytanie, dziś odpowiedź? Problem – czyli szatan – pozostał, chociaż książka znikła? Czyżby?

Imprimatur

Sprawa nie jest taka prosta... Otóż po roku 1989 na rynku książek i czasopism pojawiły się wydawnictwa zadziwiająco. Starsi Czytelnicy pamiętają zapewne pismo o wdzięcznej nazwie *Skandale*. Można było w nim przeczytać, że prezydent USA John Kennedy nie zginął w Dallas, lecz mieszka... na terenie jednego z PGR-rów w zachodniopomorskim (tekst jest okraszony stosownym zdjęciem), a w USA wyprodukowano robota, który zgwałcił jedną z pracownic (zdjęcia samego wydarzenia nie było). Mówiąc krótko: każda, także najbardziej nieprawdopodobna sensacja, różna od szaroburej rzeczywistości z gazet PRL-u, w wyposażonym kraju sprzedawała się jak świeże bułeczki. Niestety, podobnie działo się z literaturą, która trafiała do księgarń katolickich i sklepików przykościelnych. Po latach transformacji ustrojowej zostały z tej literatury nędzne resztki – i chwała Bogu!

Otóż *Szatan istnieje naprawdę* jest właśnie taką książką! Od razu rodzą się pytania: czy chodzi o książkę P. (co znaczy: P?) Bonifaciusa Güntera CCD (co to takiego: CCD?) *Szatan największy wróg człowieka*, wydaną we Wrocławiu w roku 1992 czy tego samego autora *Szatan istnieje naprawdę*, wydaną w Poznaniu w roku 1995 – obie mają identyczne okładki, z tytułem *Szatan istnieje naprawdę*, ale różnią się zawartością. Zresztą ta druga ma być, po części, opracowana na podstawie książki tegoż autora, wydanej w Częstochowie w roku 1980! Obie publikacje powołują się na *imprimatur* z roku 1973 o. Wernera Parela, prowincjała Karmelitów Bosych z Monachium. Jeżeli to

prawda – o. Parel musiał być prorokiem, skoro wydał pozwolenie na druk tekstów napisanych w roku 1975 (zobacz np. *Szatan istnieje naprawdę*, s. 38), w roku 1976 (np. s. 51), w roku 1977 (np. s. 82) albo jeszcze później... Uważna lektura prowadzi, m.in. do takiego wniosku: *w roku 1984 minęło 100 lat darowanych przez Jezusa szatanowi, który dokonał ogromnych spustoszeń w Kościele, a świat stoi na krawędzi strasznych wydarzeń, bo szatan samowolnie nie opuści zajętych pozycji.*

A zajęte pozycje? Oto kazań nie mówi się już z ambony, Komunię św. przyjmuje się na stojąco, kapłan odprawia Mszę św. twarzą zwrócony do ludzi, a duchowni chodzą ubrani *na cywila*... Jaki pożytek – pytam – może przynieść Czytelnikowi książka budząca lęk przed działaniem szatana, i to w łonie samego Kościoła? Książka przekonująca, m.in., że reforma liturgii do-

konana przez *Vaticanum II* jest efektem działania szatana? Publikacja jest po prostu niechlujną kompilacją różnych tekstów (by nie rzec mocniej: niedoświadczonym), dokonaną przez Nie-wiadomo-kogo, kierującego się chęcią szybkiego zysku. Być może, kierującego się również pobożnym zamiarem dostarczenia strawy duchowej pobożnym duszom, ale – jak widać – dobrymi chęciami... piekło jest wybrukowane.

Taką książką, zdecydowanie antykatolicką (antypapieską?), było też *Ostrzeżenie z zaświatów* Bonawentury Meyera (Warszawa 1992), zawierające *wyznania piekła* na temat Kościoła naszych czasów. Pomyśl jest, zaiste, przedni: Judasz Iskariot: (!?) i inne demony, w czasie odbywania egzorcyzmów dokonują szczegółowej krytyki Kościoła, a zwłaszcza posoborowej reformy liturgicznej (od s. 37). Niejaki Akabor dokładnie instruuje o pokropieniu, okadaniu i modlitwach, które wygnają diabła z kościoła (s. 46). Demon Veroba podaje informacje o kierującym Kościołem sobowtórce papieża Pawła VI (s. 143-144). Belzebub przekazuje objawienia Matki Bożej (s. 136), a wszystko podsumowane jest zapewnieniem, że arcybiskup Lefebvre i jego przekonania ostatecznie zatrumfują* (s. 87, 181). Szatan – ewangeliczny *klamca* i *ojciec kłamstwa* (zob. J 8,44) – w tej książce staje się podstawowym źródłem praw-



foto: P. Zycieński

dy o Kościele i świecie! Wydawca powołuje się na rzekomą decyzję Pawła VI, dopuszczając rozpowszechnianie bez *imprimatur* pism o nowych objawieniach itd. Nie napisał tylko, czy dekret wydał Paweł VI czy jego sobowtór i co o tym dekrecie sądzi *Judasz et consortes*...

Podobną książką jest też *Zakładnicy diabła* autorstwa eks-jezuity Malachiego Martina, wydana w roku 1993 przez gdański *EXTER* (znany skądinąd również z dobrych publikacji katolickich). Nie wnika tutaj w merytoryczną treść zaprezentowanych przypadków szatańskiego opętania i dokonanych egzorcyzmów, zapewniając natomiast, że niektóre opisy mogą przypisać Czytelnika nie tylko o mdłości. Czemuż więc ostatecznie lektura publikacji miałyby służyć? Poza, oczywiście, ewentualnym poszukiwaniem sensacyjnych opisów i wiadomości...

Wymienione wyżej i im podobne publikacje, niestety, nie rozplynęły się w nicości: znajdują się w domowych bibliotekach, pozostając czasem jedynym źródłem wiedzy o historii Kościoła w ostatnich dekadach...

Dziś łatwo *rozpoznaje się ducha*. Oto mam przed sobą dwumiesięcznik *Przymierze z Maryją* (listopad/grudzień 2002), wydany w Krakowie przez *Sto-*

Unia i my

Mówiąc o przystąpieniu Polski do UE należy wziąć pod uwagę aspekty: polityczny, gospodarczy i najważniejszy – moralny.

Jesteśmy świadkami rozpoczynających się zmian politycznych. Wszelkie teorie o *końcu historii* wydają się *brać w łeb*. Zaczyna tworzyć się wyrażna oś Paryż – Berlin (i prawdopodobnie) – Moskwa; skierowana, być może, przeciw USA. W tej sytuacji przystąpienie Polski do UE ma sens tylko w przypadku ustanowienia bardzo bliskich stosunków (specjalnych) ze Stanami Zjednoczonymi. A tak w ogóle, to chyba trochę poczekać, aż sytuacja się wyklaruje.

Zarówno w Polsce, jak i w UE do-

warzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi. Stowarzyszenie prowadzi ożywioną działalność wydawniczo-marketingową (było o niej głośno przez chwilę z powodu krytyki wypowiedzianej przez arcybpa Józefa Życińskiego) w Krakowie. Wiemy też, że działało bez błogosławieństwa Pasterza Kościoła lokalnego i nigdy o takie uwiarygodnienie nie prosiło... Na łamach czasopisma *kapłan objaśnia, w świetle nauki Kościoła Świętego, konieczność wypowiedziania się przed przyjęciem Komunii Świętej*. W tekście nie znajduje żadnego odwołania się do nauki *Vaticanum II* czy *Katechizmu Kościoła Katolickiego*, co zastanawia. Zastanawia też skrót: *FSSP: Bractwo Kapłańskie Świętego Piotra* czy *Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X?* A to drugie jest wspólnotą schizmatyczną, pozostającą poza Kościołem katolickim (lefebvryści). Dopiero osobiste śledztwo prowadzi mnie do wniosku: kapłan ów jest członkiem katolickiego *Bractwa Św. Piotra*. I co z tego wynika? Otóż jeżeli ja sam (będąc księdzem) w pierwszym momencie nie potrafiłem bezbłędnie ocenić, z czym mam do czynienia – czy jest możliwe, by wydawnictwo wzbudziło jakiegoś wątpliwości u przeciętnego Czytelnika? Czasopismo, zresztą, nie

minuje socjalizm, z tym że u nas, dobrze znany, tylko kapitalowo przekształcony – socjalizm mafijny. W Europie zaś widzimy poważne przejawy socjalizmu utopijnego, który może być jeszcze bardziej dokuczliwy niż mafijny, występujący w Europie również, lecz w mniejszym stopniu i bardziej zakamuflowany. Oczywiście, nie we wszystkich państwach jest jednakowo. Chyba Irlandia jest chlubnym wyjątkiem, dzielnie się broniącym.

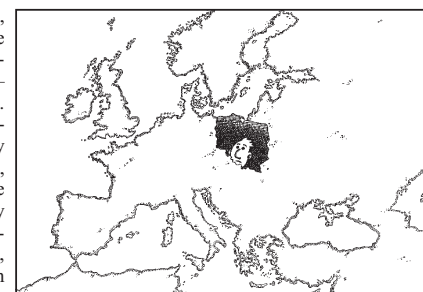
Chrystus, umierając za wszystkich, zburzył mur między narodami. Nie ma już, jak mówi Św. Paweł do Kolosan, *Greka ni Żyda*. Różne kraje mogą się

budzić żadnych obaw, rozchodzą się po całej Polsce. Podobnie, jak inne wydawnictwa *Stowarzyszenia* rozchodzą się także ankiety i... zachęty do finansowania jego inicjatyw w stosowną kwotę w wysokości 20, 30, 50, 100 lub więcej złotych.

Nie dajcie się zwodzić, bracia moi umiłowani – pisze św. Jakub (Jk 1,16). To wezwanie jest ciągle aktualne, a w naszych czasach tym bardziej. Trzeba z nim bowiem połączyć inne: *Umiłowani, nie dowierzajcie każdemu duchowi, ale badajcie duchy, czy są z Boga, gdyż wielu fałszywych proroków pojawiło się na świecie* (1 J 4,1). I należy dodać jako konkluzję: *Ten, który zna Boga, słucha nas. Kto nie jest z Boga, nas nie słucha. W ten sposób poznajemy ducha prawdy i ducha fałszu* (1 J 4,6). Wsłuchiwać się w naukę Kościoła, poznawać nauczanie Ojca Świętego, pogłębiać swoją wiedzę religijną – oto palące zadanie, przed jakim staje każdy wierzący, jeśli chce rozpoznawać ducha Bożego i podążać za duchem prawdy, a nie fałszu.

ks. Bogdan Markowski CM

* Z dniem 1 lipca 1988 roku – w wyniku konsekracji biskupów bez zgody Rzymu – abp Marcel Lefebvre i jego zwolennicy zostali ekskomunikowani



rys. K. Kumiński

jednoczyć, lecz tylko w Chrystusie, a więc w Kulturze Chrześcijańskiej. Miejmy nadzieję, że Bóg wspomógł nas w ewangelizacji haniebnie zlaicyzowanej i przepelnionej relatywizmem moralnym *Unii Europejskiej*.

Jarosław Szczepanowski



BÓG ZAPŁAĆ 2003

Od 1986 roku środowisko miesięcznika *Powściągliwość i Praca* publicznie wyraża swą wdzięczność tym, którzy dają innym wypróbowane wzorce postaw moralnych, wkładają wiele trudu w kształtowanie postaw młodego pokolenia, odznaczają się wrażliwością na ludzkie problemy.

Obradując już po raz osiemnasty Kapituła nagrody *Bóg Zapłać*, składająca się z członków redakcji, najbliższych współpracowników i laureatów nagrody z poprzednich lat, postanowiła w bieżącym roku prosić o przyjęcie szczególnego *Bóg Zapłać* i symbolicznego medalu następujące osoby:

1. **ks. arcybiskupa Kazimierza Majdańskiego** – za niezłomną służbę narodowi przejawiającą się przede wszystkim we wszechstronnych działaniach na rzecz umacniania polskiej rodziny;

2. **ks. prałata Józefa Maja** (z parafii św. Katarzyny w Warszawie) – za pracę wychowawczą i duszpasterską w środowiskach akademickich oraz za ożywanie i pielęgnowanie najszczytniejszych tradycji narodowych, które znajdują swój wyraz m.in. w realizacji pomnika-sanktuarium *Ofiar komunizmu z lat 1939 – 1956*;

3. **Jana Mincewicza** (z Wilna) – za działalność na rzecz kultury polskiej na Wileńszczyźnie oraz za wieloletnią pracę katechetyczną wśród mieszkających tam naszych Rodaków;

4. **ks. prałata Krzysztofa Ukleję** – za prowadzenie *Caritas* diecezji warszawsko-praskiej, która jest wzorem troski Kościoła o najuboższych.

6. Nagrodę zbiorową *Bóg Zapłać 2003* Kapituła przyznała zespołowi redakcyjnemu **Studia Otwartego Cybernetyki 7** za stworzenie programu, który był publiczną debatą o najważniejszych problemach kraju i Kościoła.

Wręczenie nagród odbędzie się 9 maja (piątek) br. o godz. 13.00
w *Domu Dziennikarza* przy ul. Foksal 3/5 w sali C.

Gratulujemy P.T. Laureatom i zapraszamy P.T. Czytelników do wzięcia udziału w uroczystości.

BÓG ZAPŁAĆ 2003

Świadek

– To były znacznie większe bochenki chleba niż te, które są dziś. Przecież nas było wielu. Matka brała bochen chleba i trzymając nóż, którym miała podzielić chleb wśród wszystkich, zawsze robiła znak krzyża, mówiąc: *W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, Amen.*

To był ubogi dom, było nas trzynastoro. Kto dziś rodzi się w takiej rodzinie? A moja śp. bohaterska mama? Była ciągle rozpiewana...

Urodził się 1 marca 1916 jako trzynaste dziecko Rozalii i Józefa. **Kazimierz Majdański** – od młodych lat oddany Ojczyźnie, harcerz, a wkrótce alumn seminarium duchownego we Włocławku.

7 listopada 1939 roku aresztowany przez Gestapo wraz ze wszystkimi profesorami i klerykami seminarium włocławskiego. Niemal 6 lat więziony w obozach Sachsenhausen i Dachau – największego cmentarzyska polskich księży. Poddany zbrodnicy eksperymentom pseudomedycznym, ocalony cudem.

– Z obozu nie wyszedłem osłabiony duchowo. Wyszedłem bardzo osłabiony fizycznie. I gdyby moi przyjaciele nie osłaniali mnie, nie wiem jak bym dożył do końca dni obozowych, jak bym wyszedł ze straszliwych opresji tyfusu plamistego. Sepsis, ogólne zakażenie. Przyszedł do mnie niemiecki nadpielegniarz Heini Stern i wypowiedział te straszliwe słowa: – *Grozi ci Sepsis. Będziemy ratować.* Na stacji doświadczalnej właśnie wstrzykiwano więźniom zastrzyk, który okazał się bardzo pożyteczny. Tylko że dla mnie był on niedostępny, bo ja byłem w grupie *alopatisch* – leczonych śmieszonymi tabletkami, których skutecz-

ność chciano wypróbować. Wypróbowano – nieskuteczność i śmiertelność. Znacznie częściej, niż się tego początkowo spodziewano.

Nigdy nie pytałem Heiniego o jego przekonania religijne, ale zawsze widziałem w nim człowieka – stale zatroskanego o innych, bo stale zatroskanego o to, że powinien ratować, a ratować nie może. On nie pytał mnie o to, czy jestem księdzem, czy też chcę być księdzem. Dowiedziałem się potem, że uratował, oczywiście w największej tajemnicy, mojego najbliższego sąsiada – właśnie księdza. Człowiek ratował człowieka.

Potem zaraziłem się tyfusem plamistym. Skarżyłem się polskiemu lekarzowi, dopuszczonemu jakoś do posługi na rewirze, że już wysyła mnie na blok, a ja nie mogę sobie poradzić z sercem, nawet gdy wstaję z łóżka. Odpowiedział: *Z sercem to ty będziesz miał kłopoty przez 30 lat.* Nie wiedział, że kłopoty będą jeszcze dłuższe. Mimo straszliwych przeżyć obozu, dożyłem 87. roku życia.

– Już pod koniec naszych doświadczeń stała się rzecz niezwykła. Dopuszczono przesyłki żywnościowe z kraju. Nikomu nie wytłumaczę, co znaczyło otrzymać bochenek czy nawet kawalek chleba. Nikomu nie wytłumaczę, co znaczyło, że idąc na stację doświadczalną, to znaczy na śmierć, zostawiłem swojemu profesorowi kilka zaszuszonych kawalków chleba.

Ja nie otrzymywałem przez długi czas niczego. Ale pewnego dnia mój sąsiad, ks. Leopold Milko otrzymał spory zasilek. Zaczął się rozchodzić zapach chleba, a nawet wędliny... Głodomory wyczuły, zaczęły zewsząd przychodzić, zaczęły zaglądać. A on słabym gestem swojej ręki zapraszał i nie chciał, żeby

go ktokolwiek wyręczał. Sam dzielił chleb, sam dzielił kawalki wędliny... I rozdawał głodomorom. To byli więźniowie sowieccy. Może spotkali po raz pierwszy człowieka? Wreszcie ks. Milko powiedział do mnie: – *Wiesz, dla nas już nic nie zostało...*

To jest człowiek... Przy takim człowieku człowieczeństwo rozwija się i rośnie.

Człowiek to ktoś, kto widzi obok siebie innych ludzi. Nie jest w centrum zainteresowania, centrum troski o samego siebie. W trakcie swojego długiego życia widziałem tych, którzy zasługiwali na miano człowieka. I widziałem bestie, to znaczy ludzi, którzy zagubili swoje człowieczeństwo. Myślę przede wszystkim o doświadczeniach obozowych. Nie jest prawdą twierdzenie, że w tych warunkach nie można być człowiekiem, nie można być sobą, nie można być kimś szlachetnym. W warunkach potwornych widziałem człowieka i widziałem bestię. Człowieka przekształconego w straszliwą karykaturę samego siebie. Co go takim czyniło? Pewnie przede wszystkim to, że przestawał być tym, kogo pomysłował Stwórca. To nie kazanie, to głębokie przeświadczenie o tym, że prawdą są słowa o stworzeniu człowieka na obraz i podobieństwo Stwórcy.

– Krzyk radości! Radość niesłychana! Uciekliśmy z obozu, z piekła obozowego, na łąkę pod lasem. To była wolność! Tak Pan Bóg stworzył świat!

Po odzyskaniu wolności Kazimierz Majdański powrócił do seminarium. Był wychowankiem Prymasa Tysiąclecia – oregowniką daru życia, najcenniejszego skarbu narodu. Od kardynała Wyszyńskiego otrzymał też sakrę biskupią. Miał wtedy 47 lat.

– Ośmielałem się nosić na piersi krzyż. Ponieważ wolno mi chyba ufać, że tę zniwagę cierpiełem także dla Imienia Jezus. Bo, gdy zostałem aresztowany, nic o mnie innemu nie wiadziało, tylko to, że noszę sutannę i że albo jestem, albo będę księdzem – katolickim księdzem polskim.

BÓG ZAPŁAĆ 2003

Moje credo, którym żyję dotąd i którego życzę każdemu to: by był człowiekiem, by był Polakiem, by był szczęśliwy, by Ojczyzna była szczęśliwa!

Wotum dziękczynnym za ocalenie z obozu w Dachau złożonym św. Józefowi, patronowi rodzin, jest Instytut Studiów nad Rodziną – prekursorski w świecie, powołany przez księdza arcybiskupa Majdańskiego 29 kwietnia 1975 roku, dokładnie w 30. rocznicę ocalenia.

Jego założyciel uczy, że **Moc narodu buduje się mocnymi rodzinami. Naród obumiera, gdy słabną rodziny.** Ukazanie prawdy Bożego zamysłu o małżeństwie i rodzinie to cel studiów w Instytucie. Ma on niemal 1700 słuchaczy. Jest już 2200 absolwentów – zarówno świeckich, jak i duchownych. Od pierwszych dni pontyfikatu Ojciec Święty wpięta przyjaciela i jego dzieła. O Instytucie w Łomiankach pod Warszawą pisze: **To konkretna odpowiedź na troskę Kościoła o rodzinę ludzką.**

Arcybiskup Majdański poświęcił życie dziełu pojednania polsko-niemieckiego. Przebaczący świadek w procesie hitlerowskiego oprawcy, szefa stacji doświadczalnej w Dachau. Autor ponad 30 książek, kilkuset artykułów, memoriału na temat strat duchowieństwa polskiego w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Od pierwszych lat pracy naukowo-duszpasterskiej zaprzyjaźniony z ks. prof. Karolem Wojtyłą. Naukowo-dydaktyczną posługę księdza prof. dr. hab. uwieńczył doktorat *Honoris Causa Uniwersytetu Szczecińskiego*. Życie dzielił między teologię rodziny a teologię pojednania i przebaczenia. Pierwszy duchowny polski, który otrzymał Wielki Krzyż Zasługi z Gwiazdą – najwyższe odznaczenie niemieckie za dzieło pojednania.

– *Pojednanie budowane jest tylko na prawdzie. Człowiek staje się bestią, jeżeli jego Bogiem staje się Hitler* – to mi powiedział wysokiej rangi esesman w czasie procesu. Był przewodniczącym strasznej komisji, przeprowa-



foto: P. Zychański

dzającej straszne doświadczenia. Gdy wyciągnąłem rękę, by okazać mu, że przebaczam, nie chciałem mojej dłoni puścić ze swoich rąk i szepotał: **robiłem mniej, niż musiałem. Dlaczego musiał – pytam!**

Wydaje mi się, że popełniamy jako naród jakiś grzech zamiedbania. Obciąża on przede wszystkim tych, którzy nami rządzą i którzy kazali nam zapomnieć o tym, co się działo, zwłaszcza z inicjatywą Wschodu. Ale także jest to grzech zamiedbania tych, którzy nami rządzą teraz. Jak można nie mówić

światu o naszej historii, choćby z ostatniej II Wojny Światowej? Jak można? Więc może to jest nasza wina, a zwłaszcza wina tych, którzy reprezentują nasze narodowe interesy, że świat nie wie o tym, jak straszliwie byliśmy prześladowani, że byliśmy narodem okrutnie zabijanych ofiar, a zaczyna się dowiadywać o tym, że byliśmy katami. Czyja to jest wina?

Ja żyję po to, żeby świadczyć. Także dziś pragnę świadczyć i robię to tak, jak umiem...

opr. Magda Wolnik

BÓG ZAPŁAĆ 2003

Przestrzeń pamięci

Wszystko to miało swój początek w domu rodzinnym w Kostkach Dużych koło Buska Zdroju. Ojciec **Józefa Maja** był absolwentem szkoły Korpusu Ochrony Pogranicza. Z takiego **gniazda reakcji władza ludowa** nie miała prawa oczekiwać dla siebie miejsca w żadnym z okolicznych liceów ogólnokształcących. Ostatecznie wyłądował w Technikum Chemicznym w Kielcach.

Pamiętam Księdza Prałata jeszcze ze św. Anny, kiedy był tam jednym z owych sławnych akademickich duszpasterzy, którzy we współpracy z Prymasem Tysiąclecia i Krakowskim Kardynałem ruszyli z *posad bryłę świata*. Można się było o tym przekonać przy okazji Akademickich Pielgrzymek czy choćby osławionego *Sacrosongu*, a nade wszystko w ową noc z 2 na 3 czerwca pamiętnego Pańskiego Roku 1979, gdy czterystutysięczny tłum młodzieży z krzyżami w dłoniach czekał w modlitewnym skupieniu pod św. Anną na Namiestnika Chrystusowego.

Owczesny rektor św. Anny (laureat Nagrody **Bóg Zapłać**) – zmarły przed dwoma laty – ks. prałat Tadeusz Uszyński, mówił o ks. Maju z dumą, że także i on, wyniósł swoje powołanie kapłańskie właśnie z tego duszpasterstwa.

Gdyby ówczesny student Maj był w jakiś sposób związany z modną w świecie formacją lewicową, dziś pewnie uczyłyby się o nim dzieci w szkole. A tak, zdarzenie z wiecu na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego z 1964 roku przepadło dla wielkiej historii.

A było to tak. Po *Liście 34*, w którym intelektualści protestowali przeciw zagrożeniom polskiej kultury i nauki, na

dziedzińcu uniwersyteckim przy Krakowskim Przedmieściu odbywał się wiec solidarnościowy studentów. Poruszony do żywego rektor Turksi wzywał właśnie do rozejścia się i powrotu do zajęć, kiedy w spokojnego i cieszącego się opinią zrównoważonego studenta z czwartego roku polonistyki Józefa Maja wstąpił *duch wojewody*. Jego stanowcze i głośne: **NIE!** – rzucone w odpowiedzi *magnificencji*, zabrzmiało donośnie i zdecydowanie – budząc entuzjazm wśród studentów, a konsternację wśród marksistowskich luminary. Jednym z nich miał się okazać prof. Bronisław Baczek, który zachował się jak wytrawny *bezpieczniak*. Ujął podekscytowanego studenta pod ramię i *gawędząc z nim dobroliwie*, wyprowadził za bramę uczelni. Zanim się nasz bohater zorientował, brama się zatrzasnęła. I tak został ze swoim *NIE* na ulicy, wzbudzając tylko zdziwienie przechodniów.

Sprawa miała swój finał, jeśli tak można się wyrazić, w ciszy gabinetów. Ostatecznie, student Maj nie został męczennikiem opozycji. Owszem, w terminie obronił pracę magisterską o Stanisławie Brzozowskim, a potem czas jakiś uczył cudzoziemców języka polskiego w studium prowadzonym przez prof. Stanisława Frybesa, aż w końcu – po czterech latach, już po wydarzeniach marcowych – zastukał do furty *Wyższego Seminarium Duchownego* w Warszawie. Święcenia przyjął w 1973 roku z rąk Prymasa Tysiąclecia, co oznacza, że w czerwcu, na św. Jana minie już trzydzieści lat jego kapłańskiego posługiwania.

Przez trzy lata ks. Józef Maj był wikariuszem w Żbikowie. W tym czasie obronił pracę magisterską z teologii w filii *Uniwersytetu Gregoriańskiego*,

a następnie jeszcze i licencyjną, co nie ma nic wspólnego z obecnymi licencjatami na uczelniach świeckich. W czasach uniwersyteckich ujawniła się pewna pasja, która towarzyszy nieprzerwanie naszemu bohaterowi do dni dzisiejszych. Zapoczątkowała ją praca w zespole, który, dla upamiętnienia postaci Henryka Sienkiewicza, przygotowywał uroczystość wmurowania tablicy pamiątkowej na gmachu uczelni.

W roku 1976, po dwunastu latach, ks. Józef Maj wraca na Grochów, gdzie przecież w *Domu Studenta*, zwanym *Kicem*, przeżył całe studia uniwersyteckie. Tym razem jest już jednak duszpasterzem akademickim głośnej *Arki*. Chyba stąd poszła w świat *szeptanka*, że ks. Maj uprawia *robotę patriotyczną*. Trzeba przyznać, że to jednaś mu wielu młodych, którzy tu i ówdzie wyrastali na liderów.

Na Grochowie również rozpoczyna ks. Maj, kontynuowaną do dziś, pracę duszpasterską z warszawskim środowiskiem naukowym. W tym miejscu warto również odnotować *wojnę trzynastoletnią* o katolicki dom dla dzieci i młodzieży zwany *Majówką*, który duszpasterz *Arki* wybudował w Ratułowiu pod Zakopanem, u Muliców.

W pamiętnym roku 1980 ks. Józef Maj powraca do swego duszpasterstwa przy św. Annie.

Stan wojenny, w sposób niejako naturalny, uczynił z ośrodka duszpasterskiego (zarówno środowisk twórczych jak i akademickich przy św. Annie) swoiste centrum opozycji. Pierwsze godziny owej wojny komunistycznej władzy z narodem, ks. Maj spędził niezwykle aktywnie. Z polecenia ks. arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, sekretarza generalnego Episkopatu Polski, w niedzielny ranek 13 grudnia duszpasterz środowisk nauki spotyka się z rektorami i wybitnymi profesorami, którzy stworzą zespół doradców Księdza Prymasa. Ten właśnie zespół da początek Radzie Prymasowskiej.

Konieczność niesienia pomocy internowanym i represjonowanym wymusi

BÓG ZAPŁAĆ 2003

kolejne, niestandardowe działania. W ich wyniku ukształtuję się z kolei Prymasowski Komitet Charytatywno-Społeczny, w którym Ksiądz Prałat będzie pełnił dwie ważne funkcje – sekretarza oraz kierownika sekcji informacji.

Istniała zatem konieczna potrzeba powołania instytucji, która mogłaby wiarygodnie i skutecznie organizować pomoc i w sposób zorganizowany dokonywać dystrybucji darów, poprzez sieć parafii i innych instytucji kościelnych. Trzeba przyznać, że Prymasowski Komitet Charytatywno-Społeczny, mimo przesładowań i na każdym kroku czynionych trudności, ciągłych dywersji i szykan ze strony władz komunistycznych, spełnił pokładane w nim nadzieje i na trwałe zapisał się na kartach historii.

Czasami zdumiewa, jak wiele może zdziałać jeden człowiek, który w odpowiednim czasie znajdzie się we właściwym miejscu. A tak jakoś Pan Bóg prowadził naszego bohatera, że zdawać by się mogło, jakby potrafił być jednocześnie w kilku miejscach naraz i brać udział w, zdawać by się mogło, całkiem odległych od siebie sprawach. Ale w owych czasach *stanu wojennego* jakoś właśnie tak było. Wielu zna to, niejako z autopsji. Przecież dość często jeden człowiek obsługiwał kilka podziemnych redakcji i wydawnictw... To jest wspaniałe, a zarazem niezwykle smutne, bo świadczy wszak o bardzo, jednak, społecznie ograniczonym zaangażowaniu w działania patriotyczno-niepodległościowe.

W owych latach *stanu wojennego* ks. Józef Maj zapisał się w wielu miejscach. Oto, z woli jeszcze ks. Prymasa Wyszyńskiego zostaje kapłanem NZS. Funkcję tę będzie pełnił do momentu zostania proboszczem św. Katarzyny. Ale na Służew trafia znamiennego dnia, będącego zarazem rocznicą *Cudu nad Wisłą*, w roku 1984. Jest wikariuszem, a zarazem duszpasterzem akademickim znajdującej się na terenie parafii *Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego*. Jest to ów rok, w którym

wyprowadzono wszystkich *starych* duszpasterzy akademickich ze św. Anny, a także ów rok gdy dopuszczono się zbrodni, mordując na oczach świata kapelana *Solidarności* ks. Jerzego Popiełuszkę.

Kiedy już znaleźliśmy się na Służewie, warto wspomnieć, że rok wcześniej ks. Józef Maj dał wyraz pasji, po raz pierwszy uwewnętrznionej podczas uniwersyteckich studiów. Dla upamiętnienia setnej rocznicy śmierci Cypriana Kamila Norwida, we współpracy z ks. bp. Jerzym Modzelewskim i Wiktoorem Gomulicim ufundował tablicę pamiątkową z popiersiem czwartego wieszczka, dłuta Lecha Dunina. Epitafium zostało umieszczone w warszawskiej archikatedrze.

Parafia św. Katarzyny zaprawdę była ze wszech miar wiekowa i czcigodna. Do końca ubiegłego wieku jej granice sięgały aż po Wolę. Wyposażona była nad podziw dostatnio, bo według najstarszej donacji piastowskiej z czasów Konrada Mazowieckiego posiadała dobra i folwarki na Rakowcu, Wolicy i Kabatach, nie wspominając już o Gućcin Gaju i Służewskim Dworze. Ale to była już przeszłość. Teraz sama parafia liczyła nie więcej niż dwa tysiące *dusz*. Historyczna plebania, będąca swoistą chlubą dworskiego budownictwa na Mazowszu popadała w ruinę. Zbudowania folwarku też. Szacowna świątynia, najstarsza w obecnych granicach Warszawy, przebudowana przez Coracciego, prosiła się również o wsparcie.

Determinacja, którą wykazał Ksiądz Proboszcz, zadziwiłaby pewnie nawet mnichów pustelników. Dość, że dziś plebania jest ponownie ową perłą mazowieckiego budownictwa, którą będą podziwiać następujące pokolenia. Ale zanim przyszła kolej na ów szacowny kościół, odbudowano historyczną dzwonnice i wzniesiono u stóp świątyni pomnik-sanktuarium *Męczenników Terroru Komunistycznego* w latach 1944 – 1956 autorstwa Macieja Szańkowskiego. W pomnik-sanktuarium w głazach,

z których go wzniesiono, umieszczono symboliczne łuski nabożów z nazwami miejscowości, w których komuniści dokonywali zbrodni na polskim narodzie. Reportaż z uroczystości odsłonięcia POMNIKA zamieściliśmy w Nr. 11 PiP z 1993 roku.

Dziś św. Katarzyna z każdym dniem odzyskuje swoją świetność. W jej murach ostatnio wmurowano tablicę pamiątkową poświęconą prezydentom RP na wychodźstwie. Z Ziemi Świętej Ksiądz Proboszcz przywiózł dar niezwykły, relikwiarz z ułomkiem kamienia z Grobu Jezusa Chrystusa. A kilka dni temu odbyła się wielka uroczystość w Rzymie. W obecności Prymasa Polski i przedstawicieli władz państwowych Ks. Prałat wraz z delegacją parafian i przedstawicieli organizacji, których do dziś jest kapelanem, odebrał poświęconą przez Ojca Świętego kopię sławnego fresku *Mater Admirabilis*. Przy tym historycznym obrazie Cyprian Norwid modlił się i otrzymał dar nawrócenia. Można by powiedzieć, że od epitafium w warszawskiej katedrze do *Mater Admirabilis* droga daleka, a przecież niezwykle konsekwentna. Mimo owej urny złożonej na Wawelu ten wielki tułacz bez własnego grobu znalazł w końcu prawdziwie swoje miejsce. Przy tym obrazie Matki, do której zanosił swoją modlitwę.

O ks. prałacie Józefie Maju można by napisać nie jedną książkę. I pewnie nie jedna jeszcze powstanie. Wiele zdarzeń, jak choćby *Konwent św. Katarzyny*, czy przeróżne kapelanie, jak choćby w *TiSS*-ie czy u Katolickich Wychoławców, można by opisywać w nieskończoność. A i tak byłoby to nie wszystko.

Zatytułowałem laudację *Przestrzeń pamięci*. Bo jakoś tak mi się zdaje, że w ten lapidarny sposób udało mi się pomieścić działania Księdza Prałata od św. Katarzyny. Zarówno te, o których wspominałem, jak i te, które także i z braku miejsca jakoś pominąłem.

Eugeniusz Zdanowicz

BÓG ZAPŁAĆ 2003

Studio Otwarte

O roli telewizji, kluczowego elementu *czwartej władzy*, napisano tomy i nikt dzisiaj nie kwestionuje jej wpływu na kształt opinii publicznej, czyli zbiorowego poglądu obywateli na ważne i nie zawsze ważne sprawy. G. Sartori, włoski politolog, autor znanej książki *Teoria demokracji* i innej, niepublikowanej w Polsce – *Homo videns* – sformułował tezę, iż telewizja wprowadziła do skomplikowanego procesu kształtowania opinii publicznej nowość – autorytet obrazu, którego niszczycielska moc wyparła dyskurs, czyli zwyczajne rozmowy toczne w domu, w klubie, na ulicy, w pracy, w rodzinach i na wiecach – dyskusje obywateli o sprawach i wydarzeniach publicznych. W czasach, gdy jeszcze rozmawialiśmy ze sobą, nasze poglądy konfrontowane z poglądami znanych ludzi, z opiniami ważnych au-

torytetów *ucierały* się dzięki dyskusjom toczonym z sąsiadami, przyjaciółmi, znajomymi, z osobami, które znaliśmy osobiście i do których mieliśmy zaufanie.

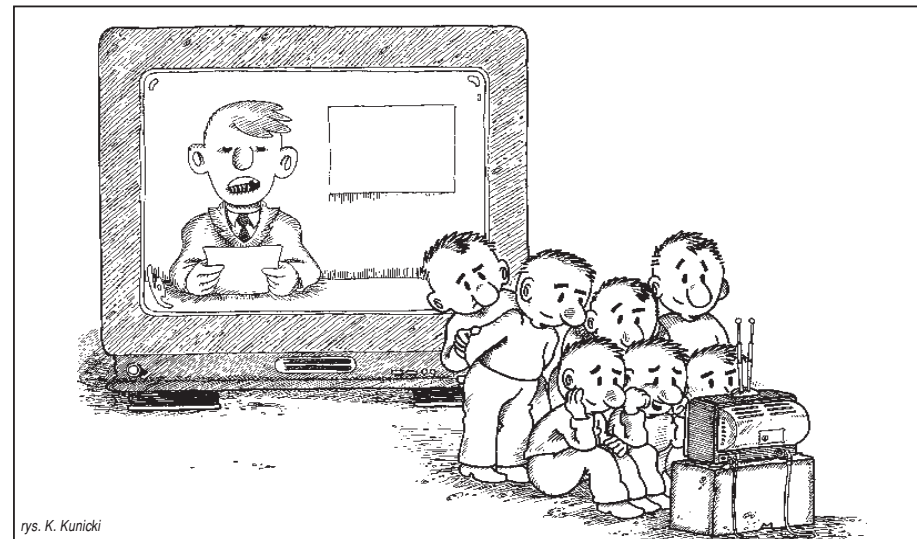
Dzisiaj, zamiast rozmawiać – patrzemy w ekran. Telewizja pomija tzw. pośredników w kształtowaniu opinii, likwiduje różnorodność autorytetów, dzięki którym mieliśmy możliwość wyboru. Obraz telewizyjny ma wielką siłę *nadawania autorytetu* ludziom, których zobaczymy kilka razy na ekranie wystarczy, czyli zwyczajnie rozmowy toczne w domu, w klubie, na ulicy, w pracy, w rodzinach i na wiecach – dyskusje obywateli o sprawach i wydarzeniach publicznych. W czasach, gdy jeszcze rozmawialiśmy ze sobą, nasze poglądy konfrontowane z poglądami znanych ludzi, z opiniami ważnych au-

torytetów *ucierały* się dzięki dyskusjom toczonym z sąsiadami, przyjaciółmi, znajomymi, z osobami, które znaliśmy osobiście i do których mieliśmy zaufanie.

Prawdziwy kształt demokracji i zakres obywatelskich wolności w państwie poznamy oglądając dyskusje i debaty prowadzone w programach telewizyjnych, szczególnie wtedy, gdy emisje tych programów opłacają obywatele za pomocą abonamentu.

W ciągu ostatnich 18 miesięcy, od października 2001 do 1 kwietnia 2003, honoru polskiej demokracji i wolności obywatelskich broniło *Studio Otwarte Cybernetyki 7*, program *Telewizji Puls*, (bynajmniej – nie publicznej), bez którego wielu moich znajomych nie wyobraża już sobie normalnego życia.

Nic dziwnego, że nagrodę zbiorową *BÓG ZAPŁAĆ 2003* kapituła nagrody przyznała właśnie Zespołowi Redakcyjnemu *STUDIO OTWARTEGO CYBERNETYKI 7* w *TV Puls*, jego TWÓRCOM I WSPÓŁPRACOWNIKOM, a wśród nich szefowi – redaktorowi *Pawłowi Nowackiemu* i prowa-



rys. K. Kunicki

BÓG ZAPŁAĆ 2003

dżącemu programy – **Janowi Pospieszalskiemu** za udowodnienie, że w Polsce można prowadzić debatę publiczną o sprawach ważnych i trudnych dla narodu w atmosferze wolności i różnorodności poglądów, z zachowaniem szacunku dla wszystkich uczestników debaty oraz w poczuciu odpowiedzialności za wygłaszane opinie.

Program **Studio Otwarte Cybernetyki 7** istniał zaledwie półtora roku, a wszedł już do historii jako symbol *nocnej Polaków rozmowy* o najtrudniejszych, najbardziej kontrowersyjnych problemach. Autorem programu udało się powołać do życia forum – instytucję cieszącą się tak dużym zaufaniem, że nawet ludzie o krańcowo odmiennych poglądach przyjmowali zaproszenia, świadomi, że spotkają prawdziwych oponentów, z którymi w atmosferze wzajemnego szacunku będą musieli rozmawiać bez żadnej taryfy ulgowej, którą w innych mediach zapewniają *leworzeczni* dziennikarze.

Lista poruszonych w programach **Studia Otwartego** problemów pokazuje, jak poważnie dziennikarze potraktowali swoją rolę w służeniu debacie publicznej Polaków: Wśród ponad 40 tematów są najtrudniejsze i najbardziej bolesne kwestie moralne, o których telewizja publiczna milczy, co najwyżej markując dyskusję, czyli eutanazja, aborcja, homoseksualizm, kondycja polskiej rodziny, planowanie rodziny i antykoncepcja, zagrożenie sektami, klonowanie ludzi, pornografia i granice wolności w sztuce. W tych sprawach uczestnicy debat w **Studio Otwartym** dyskutowali *naprawdę*, nie uciekając od norm i wartości moralnych, pokazując cenę, jaką płacimy za życie zgodne i niezgodne z tymi wartościami.

Dyskutowano także o trudnych problemach codziennego życia Polaków: o żebractwie, bezrobociu, konfliktach wokół *hipermarketów*, dostawach gazu do Polski, o sprzedaży ziemi rolniczej cudzoziemcom czy o sporze wokół nowej i starej matury.

Studio Otwarte Cybernetyki 7 stwo-

rzyło także możliwość dyskusowania o problemach poznanych i niewygodnych dla telewizji publicznej, a dotykających najbardziej fundamentalnych dla narodu kwestii: czym jest patriotyzm, czy i dlaczego pamiętamy i *nie – pamiętamy o stanie wojennym*, czy etos polityków to tylko mrzonka, co komplikuje trudne i złożone relacje polsko-żydowskie, jaki jest prawdziwy obraz naszej tolerancji wobec *innych*.

W debatach **Studia Otwartego** pojawiały się także tematy gorące, aktualne, kontrowersyjne, o których, poza **Studium Otwartym**, nigdzie nie rozmawiano tak szczerze, uczciwie i – co nie jest bez znaczenia – tak długo i wyczerpująco. Pojawił się *szczyt w Kopenhadze* i proces integracji z *UE* w kilku wymiarach, od wynegocjowanych warunków akcesji, po wizję Europy rozumianej, jako wspólnota wartości. Aż trzy, a może tylko trzy wieczory, poświęcono zagrożeniu, jakie dla demokracji, wolności obywatelskich i gospodarczych stanowi oligarchiczno-korupcyjna *afery Rywina*.

Kolejny blok programów, być może najbardziej wyjątkowy i poza **Studium Otwartym Cybernetyki 7** praktycznie nieobecny w mediach, poświęcono życiu duchowemu polskich katolików. Trzy, najbardziej radosne, dyskusje toczyły się wokół nauce i pielgrzymek Jana Pawła II oraz obecności młodych w Kościele. Niezwykle dla przyzwyczajonych do nieco mdlawych rozmów o praktykach życia religijnego były głębokie, pełne duchowości i radości debaty poświęcone modlitwie różańcowej, celibatowi oraz – sakramentowi pokuty i pojednania w programie – ostatnim (!!!).

Rozmawiano także o muzyce w Kościele i o **Radiu Maryja**. Ta ostatnia debata wymaga przypomnienia. Po raz pierwszy, i o ile wiem – jedyny, spotkały się osoby o poglądach na temat **Radia Maryja** tak odmiennych, jak odmienna jest jego redakcja i redakcja *Tygodnika Powszechnego*. I stało się

niemożliwe – debata toczyła się w spokoju, w atmosferze wzajemnego szacunku, a jej uczestnicy słuchali siebie nawzajem. Sposób na minimalizowanie konfliktów i eliminację obyczaju przerywania wypowiedzi znalazł prosty – czas trwania każdej debaty dawał pewność wszystkim uczestnikom, że prędzej czy później będą mogli przedstawić swój pogląd na daną kwestię. Co więcej, jeżeli debata toczyła się żywo i ciekawie – program przedłużano. Uczestnicy, widzowie, eksperci zaproszeni goście zawsze mieli poczucie, że są ważni, że ich poglądy są istotne, a rzetelne przedstawienie różnic w opiniach uczestników programu jest dla zespołu redakcyjnego najważniejsze.

Autorzy **Studia Otwartego** przypomnieli nam o istnieniu osób nieobecnych w życiu publicznym z powodu *niepoprawności* ich poglądów: Jerzy Robert Nowak, Michał Drozdek, Andrzej Nowak z Krakowa, Cezary Michalski, Ryszard Legutko, Paweł Milcarek, Zdzisław Krasnodębski, Jacek Łęski i wielu innych przypomnieli o swoim istnieniu.

Studio Otwarte Cybernetyki 7 było w 2002 roku niezwykłym darem losu w kraju, w którym telewizja publiczna oznacza jedynie *upublicznianie* poglądów ludzi sprawujących władzę, a debaty są śpiewaniem tego samego kanoanu, tyle, że *rozpisane* na kilka głosów, programy dla dorosłych niepokojąco przypominają *Rower Błażeja*.

Studio Otwarte Cybernetyki 7 ma swoich licznych widzów, którzy pisali, komentowali, doradzali, chwalili i czasami prosili redakcję o pomoc. Co więcej, na taką pomoc mogli liczyć. Dziennikarze studia odpowiadali na listy, pomagali, radzili i słuchali opinii swoich widzów. Dzisiaj **Studia Otwartego** nie ma już na naszych ekranach. Ale są jego twórcy i jego widzowie, którzy czekają na powrót debaty publicznej do naszych domów.

BÓG ZAPŁAĆ za **Studio Otwarte** i *niechaj żywi nie tracą nadziei*.

Barbara Fedyszak-Radziejowska



J.E. ks. abp Kazimierz Majdański



Ks. prałat Józef Maj z parafii św. Katarzyny w Warszawie

LAUREACI NAGRODY *BÓG ZAPŁAĆ* 2003

fol. P. Życieński



Ks. prałat Krzysztof Ukleja – *Caritas* diecezji warszawsko-praskiej



fol. archiwum

Jan Mincewicz z Wilna



Jan Pospieszalski – *Studio Otwarte Cybernetyki 7*

BÓG ZAPŁAĆ 2003

Z Polską w sercu

Jan Gabriel Mincewicz urodził się 25 marca 1938 r. w Sużanach na ziemi Wileńskiej. W latach 1957–1962 odbył studia w *Konserwatorium Muzycznym* w Wilnie w klasie dyrygentury chóralnej, w latach 1962–1968 studia w *Akademii Muzycznej* w Wilnie. W 1961 r. rozpoczął pracę pedagogiczną w szkołach polskich na Wileńszczyźnie jako nauczyciel wychowania muzycznego. Pierwszą z nich była Szkoła Średnia Nr 26 w Nowej Wilejce (dziś dzielnica Wilna).

Tam zorganizował swój pierwszy zespół – chór chłopięcy *Orleńta* oraz kółko religijne *Promień*. Początki, zwłaszcza kółka, nie były łatwe. Założyciel – Jan Mincewicz – oraz oddane mu grono młodych Polaków i Polek, uczniów szkoły nowowilejskiej, starannie musieli ukrywać swoją drogę do Boga, swoje prawdziwe zainteresowania i dociekania, maskując prawdziwą działalność szyldem kółka melomanów. Bardzo szybko większość *myślącej* młodzieży szkolnej znalazła się w kręgu jego oddziaływania. Dyrekcja szkoły szybko zaczęła podejrzewać, że nauczyciel muzyki nie ogranicza się tylko do tematyki muzycznej, ale prowadzi działalność nie całkiem zgodną z linią partii i władz. Zaczęły się rozmowy dyrekcji z uczniami, w trakcie których przekonywano ich, że: *nauczyciel i tak trafi do więzienia, więc po co się narażać* oraz: *że lepiej będzie jeśli ujawnią, co jest prawdziwym przedmiotem zajęć kółka*. Nie dało to jednak pożądanego efektów. Młodzież pozostała wierna swojemu nauczycielowi. Obdarzała go bezgranicznym zaufaniem i wdzięcznością za organizowane wycieczki do Lwowa, Kijowa, Rygi czy Moskwy, za obozy i wycieczki do lasów i nad jeziora.

Te obozy były uważane przez młodzież jako płynięcie *pod prąd*, a głośne modlenie się i śpiewanie piosenek ukła-

danych przez ich nauczyciela stwarzało wspaniałą atmosferę, bo: *Bóg nie kazał być ponurym* – jak mawiał Mincewicz. Nic dziwnego, że stał się *solą w oku*. Szykanowany przez dyrekcję i sowiecko-litewskie władze oświatowe za swoją apolityczność, za wierność wierze katolickiej, potajemną katechizację młodzieży w kółku *Promień*, za wydawanie przez trzy lata biuletynu pt. *My chcemy Boga*, Jan Mincewicz musiał (w 1974 r.) rozstać się ze szkołą w Nowej Wilejce.

Nie zrażony tym, że musiał odejść, niezwłocznie przystąpił do działania w szkole niemenczyńskiej. Bardzo szybko zorganizował w niej zespoły śpiewacze *Stokrotki* i *Jutrzenka* oraz kółko miłośników sztuki, które przybrało nazwę *Świt*. Rychło też doszło do nawiązania kontaktów pomiędzy *Świt* a nowowilejskim *Promieniem*. Pod wodzą Mincewicza członkowie obu tych grup zaczęli się ze sobą spotykać w prywatnych mieszkaniach, w podwileńskim lesie, na wycieczkach rowerowych do miejsc sakralnych na Białorusi, Łotwie i Litwie. W ramach tych spotkań, jak wspomina jedna z ich uczestniczek – Danuta Komar: *uczyliśmy się religii, poznawaliśmy żywoty świętych, drogę życia i miłości Pana Jezusa, poznawaliśmy Boga, uczyliśmy się kochać, współczuć, cieszyć się wspólnie i bawić tak bardziej po ludzku i bardziej po polsku*.

W 1981 roku w Niemenczyźnie Jan Mincewicz założył polski *Zespół Ludowy Pieśni i Tańca Wileńszczyzna*, którego został dyrygentem i kierownikiem artystycznym. Z jego inicjatywy odbywają się corocznie w maju, w Niemenczyźnie, festyny kultury polskiej (w tym roku po raz piętnasty) pod nazwą *Kwiaty polskie Ziemi Wileńskiej*, będące przeglądem dorobku artystycznego kilkudziesięciu polskich zespołów pieśni i tańca z Wileńszczyzny. Od 1981

r. kierowana przez niego *Wileńszczyzna* wielokrotnie koncertowała poza granicami *małej ojczyzny*, m.in. w Anglii, Austrii, Belgii, Danii, Francji, Holandii, Niemczech, we Włoszech, w USA i oczywiście w polskiej Macierzy. Była też przyjęta przez Ojca Św. Jana Pawła II.

Twórca *Zespołu* zbiera z zapalem pieśni Ziemi Wileńskiej i opracowuje je muzycznie, aby ocalić od zapomnienia. Jest autorem ok. 30 pieśni, współautorem podręcznika wychowania muzycznego dla klas IV – VIII szkół polskich na Litwie (1973 i 1981) oraz autorem podręczników muzyki dla klas V i VI (1998) oraz VII i VIII (1999). Jest członkiem Komisji Katechetycznej Archidiecezji Wileńskiej.

Od 1988 r. Jan Mincewicz jest aktywnym działaczem *Związku Polaków na Litwie*, w latach 1988–1991 był prezesem Oddziału Wileńskiego tego *Związku*, w latach 1991–1994 prezesem *Zarządu Głównego Związku Polaków na Litwie*. Od 1992 r. jest posłem na Sejm Republiki Litewskiej z ramienia *Akcji Wyołbycznej Polaków na Litwie*.

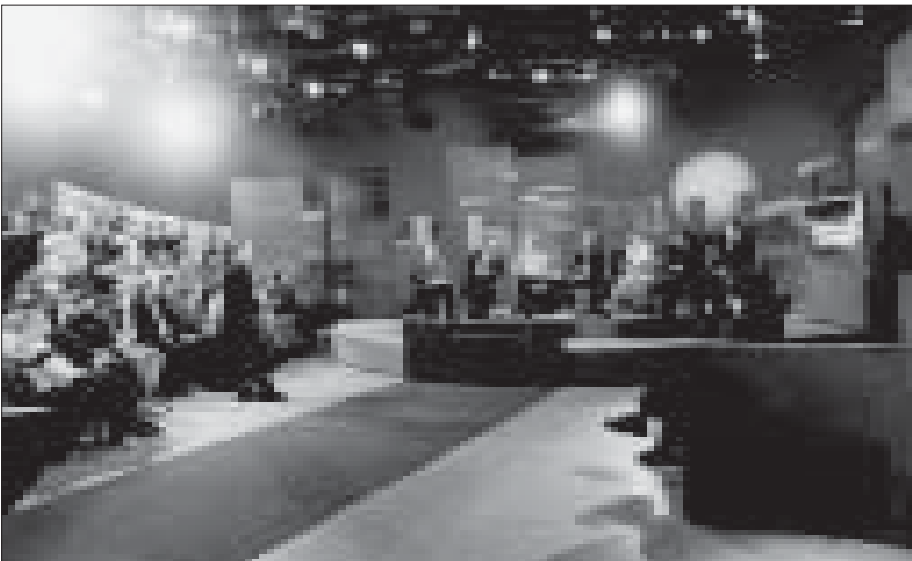
Pełna poświęcenia i odwagi cywilnej postawa Jana Mincewicza, wychowawcy młodzieży Polskiej i tajnego katechety, spowodowała, że stał się laureatem wielu odznaczeń, nagród i wyróżnień, m.in.: Nagrody im. Oskara Kolberga, Nagrody im. Brata Alberta, został uhonorowany tytułem *Zasłużony dla Kultury Polskiej*, w plebiscycie czytelników *Kuriera Wileńskiego* zdobył tytuł *Polaka Roku 1998 na Litwie*. Jest odznaczony *Medalem Komisji Edukacji Narodowej*, *Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski*, *Medalem Honorowym Stowarzyszenia Miłośników Tradycji Mazurka Dąbrowskiego*.

Jan Gabriel Mincewicz, niestrudzony działacz kultury polskiej na Ziemi Wileńskiej i działacz społeczny, obrońca społeczności polskiej na Litwie, człowiek wielkiej wiary i wielkiego ducha, zawsze wierny Bogu i Polsce, w pełni zasłużył na wyróżnienie *Nagrodą Bóg Zaplać*.

Bogusław Nizieński



Studio Otwarte Cybernetyki 7



BÓG ZAPŁAĆ 2003

Menadżer

Caritas Diecezji Warszawsko-Praskiej (DWP) została powołana do życia przez J.E. księdza biskupa Kazimierza Romaniuka w 1992 roku, który mianował jej dyrektorem **księdza pralata Krzysztofa Ukłeję**. Początki były trudne. Nowa diecezja budowała swoje struktury. Dzięki inicjatywie i operatywności nowo powołanego ks. Dyrektora w krótkim czasie udało się odzyskać budynki dawnego seminarium przy ul. Kawczyńskiej 49, w którym mieści się dziś biuro *Caritas* diecezjalnej. Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla dziewcząt z lekkim upośledzeniem, Poradnia Psychologiczna i rodzinna oraz Punkt Informacyjno-Konsultacyjny HIV – AIDS.

W odpowiedzi na istniejące potrzeby na terenie diecezji, w szczególności poszerzający się krąg ubóstwa, na początku istnienia *Caritas DWP* zorganizowana została darmowa jadłodajnia dla ubogich przy ul. Grochowskiej, która wydawała najczęściej posiłków na terenie miasta Warszawy. Jadłodajnia im. Św. Brata Alberta znajduje się przy ul. Szaserów i wydaje codziennie 700-800 darmowych gorących obiadów. Osobom ubogim i bezdomnym służy również punkt wydawania odzieży.

Od roku 1995 r. rozpoczęły działa-

ność na terenie diecezji Stacje Opieki Medycznej *Caritas* oferujące nieodpłatną pomoc medyczną i socjalną. Pierwsze dwie powstały w Wieliszewie i Rembertowie. Kolejne w Mińsku Mazowieckim, Zielonce, Wołominie, Józefowie, Żąbkach. Taka forma opieki medycznej odpowiadała aktualnym potrzebom społeczności lokalnej. Tworzenie stacji zawsze wiązało się z koniecznością współpracy *Caritas* z parafiami oraz samorządem lokalnym.

Opieka nad seniorami, niepełnosprawnymi, samotnymi matkami, bezdomnymi była kolejnym wyzwaniem, na które odpowiedziała *Caritas DWP* pod kierownictwem ks. Ukłei. Powstały m.in. **Dom Dziennego Pobytu i Warsztaty Terapii Zajęciowej** w Mińsku Mazowieckim, **Dom Samotnej Matki** w Zielonce, Noclegownia dla bezdomnych mężczyzn w Legionowie. Organizowane są turnusy rehabilitacyjne dla osób chorych i niepełnosprawnych w Ośrodku *Caritas* w Urlach.

Corocznie prowadzona jest akcja kolonijna dla dzieci ze środowisk ubogich, patologicznych, dotkniętych uzależnieniami, zaniedbanych. Akcja początkowo objęła 30 dzieci i stale się rozwinęła by w latach kolejnych objąć 300, następnie 600 dzieci. W roku 2002 z wypoczynku wakacyjnego *Caritas DWP* skorzystało już 4000 dzieci. W zorganizowaną akcję kolonijną czynnie włączają się nauczyciele, pedagodzy, dyrektorzy szkół i studenci, którzy sta-

nowią wykwalifikowaną kadrę i jako wolontariusze dzielą się swoim doświadczeniem, by pomóc dziecku w jego trudnościach, a przede wszystkim pomóc mu w kształtowaniu własnej osobowości.

Nie należy zapominać o stałej formacji **Parafialnych Zespołów Caritas** prowadzonej przez *Caritas DWP*. Na terenie diecezji Dział 90 Parafialnych Zespołów *Caritas*, w których zaangażowanych jest 1500 wolontariuszy. Spotkania z nimi, wspólna modlitwa, szkolenia, przekazywanie informacji o nowych inicjatywach jest stale realizowanym zadaniem *Caritas DWP*. Stała pomocą w parafiach objętych jest 3260 osób starszych i niezdolnych.

Podczas wielkiej powodzi 1997 r. na terenie biura *Caritas DWP* znajdowało się centrum pomocy organizowanej przez *Caritas* Polska oraz *Caritas DWP*. codziennie z warszawskiej Pragi wyruszało kilkanaście ciężarówek z pomocą dla poszkodowanych. Podobnie było w przypadku innych akcji pomocy humanitarnej organizowanej przez *Caritas* Polska.

Ksiądz Krzysztof Ukłaja to *menadżer Pana Boga*. Znany jest jako osoba, która nikomu nie odmawia pomocy. Jest zaangażowany we wszystkie działania podejmowane w *Caritas*. Posiada rzadki w dzisiejszych czasach dar zjednywania sobie ludzi. Wykorzystuje swoje doświadczenia zdobyte podczas pracy na parafiach diecezji. W ciągu 11 lat pracy w *Caritas* zbudował silną i prężną diecezjalną organizację, która potrafi szybko i sprawnie reagować na wyzwania dnia codziennego. Zdolności menedżerskie ks. Krzysztofa pozwalają na realizowanie wielu projektów przy zaangażowaniu wielu współpracowników i wolontariuszy. Dzięki temu w Diecezji Warszawsko-Praskiej żywe jest świadectwo miłosierdzia chrześcijańskiego. Osoba Księdza Krzysztofa Ukłej jest przykładem kapłana i społecznika, kochanego przez podopiecznych oraz współpracowników.

Maciej Rayzacher



foto: P. Zycieński

RECENZJA

Drogowskazy

Jeżeli mają rację ci, którzy obawiają się, że po akcesie integracyjnym w istocie staniemy się wyłącznie Unijczykami – to można by powiedzieć, że w tej sytuacji prawdziwie ostatnim Europejczykiem był już chyba tylko autor eseju pt. **Katedra – symbol Europy**.

Ks. prof. Janusza Pasierba znali czytelnicy *PIP* choćby i z tego, że na łamach naszego pisma gościł także jako poeta i jako eseista, a jego najważniejsze książki były z należytą powagą omawiane i dyskutowane.

Aż nie chce się wierzyć, że oto już dziesięć lat nie ma Go pośród nas. Ze – przy okazji wydania przez **Bernardinum** tej, tak ważnej w dzisiejszych czasach, książki nie można już do Niego zadzwonić i zaprosić Go do redakcji na frapującą rozmowę.

W czasach, gdy o kondycji łańciskiej cywilizacji i jakości życia coraz bezwzględniej zaczęli decydować wszelakiej maści wizarzyści permisywizmu i libertyni od wirtualnych mrzonek i antywartości – działalność ks. Pasierba zdaje się przypominać bezustannie posypywanie nawierzchni dróg asfaltowych grysem z najprawdziwszych diamentów. A przecież ten wielki myśliciel, który mógł być wykładcą na największych uczelniach Rzymu, Paryża, Bonn czy Fryburga, pozostał wierny pięknu europejskich katedr, własnemu Seminarium w Pelplinie, i skromniutkiej, nawet w warunkach PRL-u, Akademii Teologii Katolickiej, która dziś nosi dumne imię Uniwersytetu ks. Stefana kardynała Wyszyńskiego.

Katedra, wywiedziona ze starożytnej Grecji aż po średniowieczne kresy Europy, na przestrzeni dziejów stała się symbolem nauczycielskiej misji,

też akademickiej i owej biskupiej. *Najdalej na wschód wysunięte prezbiterium katedralne ma Gniezno* – powiada ks. Janusz Pasierb. Bo też tylko tam, gdzie stały katedry, było terytorium ówczesnej Europy.

W następnych stuleciach jej granicę na Wschodzie tworzyły już także, na linii Wilna i Lwowa, katedry uniwersyteckie. Dziś – w jakimś sensie także i tam, gdzie dociera nauczający Jan Paweł II. Wszędzie bowiem zbiera on nieprzebrane tłumy, jak niegdyś nawy katedr.

W konkluzji swego eseju powiada ks. Pasierb: *Europa nie jest wyodrębniona w sposób naturalny od Azji. Jej granice od Wschodu wyznacza kultura. Europę zawsze trzeba było tworzyć i budować, zapewniać jej ciągłość. I taka jest dziś: różnorodna aż do niekształtności – to ją opisywał Wiktor Hugo, pisząc o katedrze – nigdy nie ukończona, dziedziczona i zadawana jak najtrudniejsza lekcja nowym pokoleniom, pełna odrębności, aż do niepodobieństwa, pomimo murów i dźwięków naszego stulecia, zawsze jakoś jedna*.

Niechże już choćby ten fragment eseju przypomni Czytelnikom, jakiego piękna i jakiej mądrości doszukać się łatwo w każdym z dzieł Księdza Profesora. Jestem pewien, że znakomita inicjatywa edytorska spotka się z dużym odzewem i wdzięcznością – kiedy trzeba nam **drogowskazów**.

Eugeniusz Zdanowicz

Janusz St. Pasierb, Katedra – symbol Europy (wydanie polsko-francuskie). Tłumaczenie: Roger Legras. Wstęp: Maria Wilczek. Drzeworyty: Zbigniew Dolatowski. **Bernardinum** 2003

CHWILA MUZYKI

IV Przykazanie

Czczij ojca swego i matkę swoją – mówi Pan. A mądrzy dzisiejszych czasów mówią: *toksyczni rodzice – to im zawdzięczasz swoje nieszczęścia, swoje kompleksy, swoje dzisiejsze niepowodzenia. Czci ich?* Powinieneś być wobec nich podejrzliwy, nieufny, powinieneś zmarginalizować ich wspomnienie w sobie – wtedy będziesz dopiero szczęśliwy.

Myślę o tym, kiedy widzę tych wszystkich rodziców drepczących za maluchami po korytarzach szkół muzycznych, obladowanych skrzypcami, pojemnikami na picie, kanapkami, tornistrami, usiłującymi uczynić łatwiejszym życie małego przyszłego artysty. Powinni wiedzieć, że to na nic, że i tak w przyszłości – w najlepszym wypadku – wyrosnięta pociecha oskarży ich o realizowanie własnych projektów i ambicji kosztem jej świętego prawa do rozwoju.

A muzykiem nie sposób zostać bez współdziałania rodziców. Kiedy młody człowiek dorasta do wyrobienia sobie poglądu na to, co chciałby, a czego nie chciałby w życiu robić, jest już przeważnie o wiele za późno na rozpoczęcie muzycznej profesjonalnej edukacji. To właśnie rodzice muszą podjąć ryzyko wyboru i odpowiedzialność, licząc na to, że ich intuicja nie zawiedzie i że lata dzieciństwa spędzone nad instrumentem nie pójdą na marne. Wybory te bywają dramatyczne, a jak uczy historia muzyki, niewielu rodziców (nawet wielkich muzyków) może mówić o pełnej satysfakcji. Relacje dorosłego Wolfganga Amadeusza Mozarta czy Niccolò Paganiniego, z tak bardzo przecież zaangażowanymi w ich edukację ojcami, nie były, niestety, nagrodą za wieloletni trud.

Na tym świecie trudno spodziewać się, że akurat relacje: rodzice – dzieci będą enklawą. Ale, niestety, wciąż jeszcze jest tu wiele do popucia. I może być stokroć gorzej, jeśli zamknijemy uszy na głos Autora Przykazań i pójdziemy za fałszywymi prorokami.

Maria Szreder

PRZEZ ŻYCIE Z ANIOŁEM

Dziewięć wieków przed Chrystusem stolicą Izraela była Samaria, miasto oddalone około 60 kilometrów na północ od Jerozolimy. W latach 973-853 królował nad państwem Achab. Miał on nieszczęście pojąć za żonkę Jezebel, córkę królewską z Sydonu. Ta despotyczna kobieta miała wielki wpływ na swego małżonka, a ponieważ należała ona do fanatycznych czcicieli Baala, wkrótce i król zaczął służyć bałwanowi. Z czasem tak się umocnił w nowej wierze, że wznosił w Samarii świątynię Baala i zaczął natrzącać się z poddanych, którzy pozostali wierni religii praojców.

Eliasz

Wśród licznych osób, którym nie podobały się rządy nowego króla, znalazł się prorok Eliasz. Pewnego dnia, nie mogąc już więcej ścierpieć panujących porządków, udał się do pałacu królewskiego i nie licząc się z konsekwencjami, przemówił do Achaba tak ostro, że zgromadzeni wokół doradcy struchleli ze strachu.

– Nie mam już dla ciebie słów, królu. Jak długo jeszcze mam powtarzać te same słowa: opamiętaj się. Nie wiem, jak z tobą dalej rozmawiać. Odchodzę zatem, bo nie mogę dalej oglądać tego, co wyprawiasz. Wiedz jednak, że wkrótce cały kraj zostanie dotknięty suszą. Nie będzie ani deszczu, ani rosy, bo tak chce prawdziwy Bóg. Jego cierpliwość się wyczerpała...

Zaskoczony zuchwałstwem król zaniemówił, a potem zaczął głośno rechotać. Wizja suszy i głodu nie przerażała go w ogóle. Eliasz, uznawszy bezowocność kolejnej misji, w pośpiechu opuścił pałac i jeszcze tego samego dnia udał się na dobrowolne wygnanie. Szedł kilka dni na wschód, przekroczył Jordan i zatrzymał się nad potokiem Kerit. Tu, z dala od zgiełku ludzkiego, oddał się medytacjom i postom. Pił wyłącznie wodę z potoku, a odżywiał się resztkami, które przynosiły mu zwierzęta. Szczególnie zaprzyjaźnił się z pewnym krukami, który rano przynosił mu chleb, a wieczorem mięso.

Po jakimś czasie, zgodnie z przepowiednią potok wysychł. Aby nie umrzeć, Eliasz musiał podjąć dalszą wędrówkę.

Tym razem wędrował o wiele dłużej i w końcu dotarł do Sarepty. Wygłodzony i wynędzniały przekroczył bramy miasta. Kiedy zastanawiał się, gdzie dalej skierować kroki, dojrzał jakąś kobietę zbierającą drewno na opał.

– Dobra wiadomość, daj mi jeść i pić, bo od wielu dni nie miałem niczego w ustach.

– Nie mam już prawie nic. Została garść mąki w garnku i reszka oliwy na dwie baryłki. Przyrządź ostatni posiłek i potem chyba wraz z moim synem pomrzemy. Ty możesz odejść, póki masz jeszcze dokąd.

– Nie martw się! Będzie dobrze, wiem co mówię – uspokajał ją Eliasz.

Wdowa uczyniła, jak jej nakazał i po zmierzchu cała trójka przystąpiła do wieczerzy. Następnego dnia kobieta ze zdziwieniem stwierdziła, że w naczyniach ponownie pojawiły się mąka oraz oliwa. I tak było każdego następnego ranka. Nabrała wielkiego szacunku do nieznanego, a kiedy ten ulecił jej syna z choroby, uznała Eliasz za wielkiego proroka.

Upłynęły trzy lata suszy i Eliasz postanowił powrócić do Samarii, by przekonać się, jak bardzo osłabł upór króla Achaba. Tak się złożyło, że obydwa spotkali się w połowie drogi. Achab wraz ze swymi zarządcami wyruszyli na poszukiwanie terenów zdalnych do wyżywienia bydła oraz koni. Władca od razu poznał Eliasz i zaczął lamentować.

– Pamiętam cię, ty straszny dręczycielu Izraela! To ty rzucił kłótwę na mój kraj.

– Nie ja jestem tyranem, nie przeze

mnie umierają z głodu niewinni ludzie, ale przez ciebie. To ty uległeś głupiej żonkowi i poszedłeś za bałwanami, wypierając się prawdziwego Boga – odparł Eliasz.

– Co robić? Spraw, aby spadł deszcz! Dłużej nie wytrzymamy! – lamentował król.

– Co robić, pytasz? Przestań czcić fałszywego bożka, odsuń kapłanów Baala. Zbierz ich wszystkich na wysokiej górze, a ja sam jeden odsonię ludziom bezsilność Baala.

Kiedy tłumy zebrały się na górę, wzniesiono dwa stosy ofiarne, jeden dla Baala, drugi dla Jahwe. Kiedy ogień spadł na stos Jahwe, wszyscy ludzie, wraz z królem Achabem, uznali błąd i wytracili fałszywych proroków. Nagle zerwała się wichura, niebo pociemniało i spadł rzęsy deszcz, pierwszy od trzech lat.

Wszyscy chwalili Jahwe i nikt nie miał wątpliwości co do opatrnościowej roli Eliasza. Nikt, poza złą królową Jezebel. Ta dyszała zemstą i knuła, jak zabić proroka, który ośmieszył jej kapłanów. Na szczęście Eliasz dowiedział się o podstępnych planach i postanowił uciec. Mógł co prawda liczyć na wstawiennictwo króla Achaba, ale znając jego uległość wobec żonki, wołał nie ryzykować. Wraz ze swoim sługą udali się na południe i zatrzymali się dopiero w Judei. W nocy Eliasz samotnie wymknął się na pustynię i upadł z wycieńczenia pod krzakiem.

– Boże! Nie chcę już dalej żyć! Zrobiłem, co należało, a teraz zabierz mnie! – prosił Eliasz, aż w końcu zasnął.

Ze snu wyrwało go niezwykle silne szarpnięcie.

– Nie gadaj głupstw! Wstawaj i jedź! – krzyczał śpiącemu do ucha natręt.

– Daj mi spokój! Kim jesteś, że mi przeszkadzasz? – odparł zniechęcony Eliasz.

– Wstawaj! Jestem posłany przez Pana, masz tu chleb i picie. Nie czas na umieranie, musisz jeszcze wiele dokonać.

Eliasz rozejrzał się wokół i widząc posiłek, zaczął jeść. O dziwo, mocą tego jedzenia szedł czterdzieści dni i czter-

dzieści nocy, aż dotarł do góry Choreb. Tam zaczął ponownie skarżyć się Bogu!

– Zabierz mnie! Przez całe życie byłem wierny, szedłem za prawdą, a oto chcą mnie zabić. Taka czeka mnie nagroda w ojczyźnie.

– Musisz wrócić – usłyszał odpowiedź. – Idź do Damaszku, namaścisz tam Nehu na przyszłego króla Izraela, ten już nie będzie ugiąć kolan przed bałwanami. Potem znajdziesz swego następcę, Elizeusza.

Dwa razy jeszcze pojawił się anioł Eliaszowi i za każdym razem odpowiedź boskiego posłańca dotyczyła walki przeciw bałwanom. Eliasz wystąpił jeszcze przeciwko Belzebubowi, bożkowi z Akronu, do którego przyznawał się Ochozjasz, następca Achaba.

Tradycja pięknie opisuje śmierć Eliasza. Prorok w ostatnich latach swego życia przygotowywał na swojego następcę Elizeusza. Kiedy pewnego dnia mistrz z uczniem szli drogą, pojawił się zniecała wóz ognisty z rumakami. Niezwykły rydwan oddzielił ich od siebie i Eliasz wsiał do pojazdu, by wśród wichury zniknąć w niebiosach.

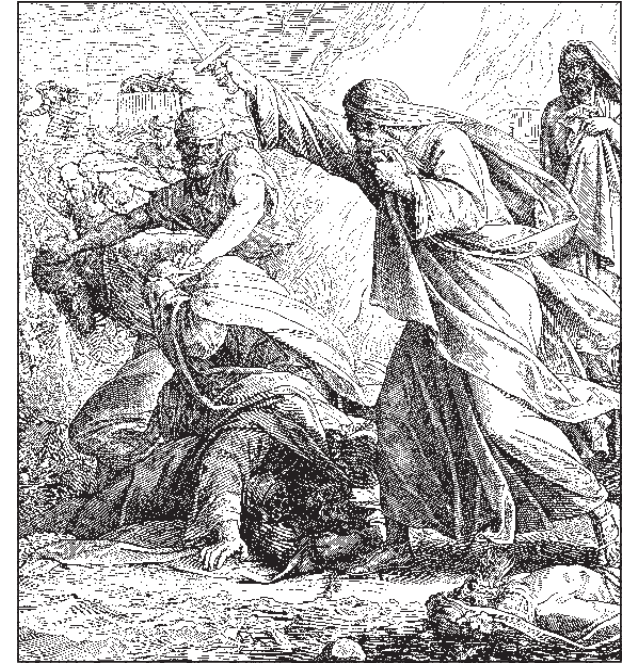
Życiowa misja proroka Eliasza polegała na walce z fałszywymi bóstwami zagrażającymi prawowitej wierze w jedynego Boga. Ludzi od niepamiętnych czasów pociągało to, co dalekie i nieznanne. Znamienna dla naszych czasów powierzchowna fascynacja obcymi religiami oraz kultami istniała już w czasach Eliasza. Doszło do tego, iż znużony i szukający nowych inspiracji władca gotów był zaprzęcać własną wiarę. W tej nierównej walce z pomocą Eliaszowi przyszli aniołowie. Najpierw zjawili się pod postacią kruka, następnie jako biedna wdowa z Sarepty i ostatecznie, by pozbawić jakichkolwiek złudzeń, przedstawili się prorokowi jako posłańcy Boga. Symboliczne cudowne posiłki, dzięki którym prorok może wędrować przez czterdzieści dni, wskazują na pokarm duchowy.

W codziennym życiu jesteśmy beustannie wystawiani na pokusy, pojawiają się chwile zwątpienia i słabości. Jeżeli wówczas wsłuchamy się głąbo-

wo w głos serca, usłyszymy życzliwą odpowiedź. Zapewne nasz anioł nie będzie tak natarcywy jak w przypadku Eliasza, ale to już nasza sprawa, by zro-

zumieć tajemną mowę i wyciągnąć z przesłania właściwe wnioski.

Herbert Oleschko



CHODŹ Z NAMI BUDOWAĆ KRÓLESTWO BOŻE! Misjonarze Św. Rodziny

zapraszają młodzież męską w swoje szeregi na wspólne przeżywanie wakacyjnej włóczęgi z Bogiem, która będzie okazją do poszukiwania własnej drogi za Jezusem.

A oto proponowane terminy:

21 – 30 czerwca SZCZYTNIK /Kotlina Kłodzka/
9 – 18 lipca OTWOCK k. Warszawy
20 – 25 sierpnia CIECHOCINEK

W przypadku dużej liczby chętnych decydować będzie kolejność zgłoszeń. Zgłoszenia, jak również bliższe informacje o naszej rodzinie zakonnej pod adresem:

REFERAT POWOŁAŃ MSF; ul. Kołłątaja 80/82; 05-402 OTWOCK 4
tel.: (0-22) 788 22 79; kom.: 0-604 213 486;
e-mail: powolaniamsf@msf.opoka.org.pl

Wiosną 1999 r. wśród laureatów nagrody *Bóg Zapłać* znalazła się fundacja *Stawek* skupiająca ludzi wspierających byłych więźniów w trudnej drodze do prawdziwej wolności. Liderzy fundacji: *Stawek Piechociński* i *Marek Łagodziński* opowiadali o początkach fundacji. W ciągu czterech minionych lat fundacja postawiła na nogi dziesiątki więźniów, w tym przypadki uznawane powszechnie za beznadziejne. *Smak wolności* to historia Jacka skazanego pod koniec lat osiemdziesiątych na dwadzieścia pięć lat więzienia za morderstwo. Wydawałoby się, że tacy ludzie nie mają szans na powrót do społeczeństwa. Niezbadane są jednak wyroki Boskiej Opatrzności. W kontrolowanym przez grypsę życie Jacka dochodzi do niespodziewanej przemiany...

Smak wolności

Odnowa

Zaczął się etap odnowy w moim życiu. To wcale nie było łatwe. Chodziłem na terapię, zabierałem głos, byłem aktywny. W czasie terapii były momenty tak bolesne, że miałem zupełnie pobijane kostki u rąk. Żeby nikomu nie zrobić krzywdy, waliłem pięściami w ścianę. W ten sposób odrağowywałem napięcie. Prosiłem Boga, żeby ta terapia się skończyła, ale byłem bardzo uczulony. Jedną z terapeutek powiedziała mi wtedy... Jacek, ty jesteś wartościowym człowiekiem... To było jak uderzenie... Przeszedłem do celi i rozmyślałem... O co jej właściwie chodzi?... Może się jej podobam?... Może się we mnie zakochała?... Moje projekcje były zupełnie chore. Nie rozumiałem, jak można powiedzieć bandycie, że jest wartościowy. To była kolejna informacja, która wstrząsnęła moim wnętrzem.

Zdecydowałem się, żeby pójść na przeznaczony dla alkoholików program *Atlantis*. Byłem jednym z pierwszych pacjentów. Terapeuci byli świeżo po przeszkoleniu i sami nie byli pewni, jakie będą efekty. Musieli jednak mieć wycucie, bo ja dzisiaj jestem trzeźwy. Po zakończeniu trzymiesięcznego programu napisałem prośbę o kolejne trzy miesiące, chociaż trochę się bałem, bo trafiały się bolesne momenty. Były też chwile fajne i wzniosłe, które dawały mi wiarę, że dam sobie radę, chociaż perspektywy były marme. Na Rakowieckiej skończyłem technikum poligraficzne i zdałem maturę. Mimo braku perspektyw (nie miałem rodziny, która mogłaby mi pomóc) czułem w sobie ciepło, które dawało mi nadzieję, że będzie

dobrze. Żebym się nie przejmował. Żeby bym zawierzył. Zawierzyłem i życie powoli zaczęło się układać. Wychodziłem na przepustki. W moim życiu pojawiły się dziewczyny. Na terapii dowiedziałem się, że miłość to nie jest łóżko. Wcześniej myślałem, że tak jest. Nauczyłem się mówić o uczuciach. O tym, że kogoś kocham, lubię, szanuję. To było dla mnie zupełnie nowe. Jakoś dziwnie mi przez gardło przechodziło, kiedy na terapii uczyli mnie, że mam powiedzieć do kolegi: *Wiesz, ja to cię lubię!*... Słowo *lubie* stawało mi w gardle. Gdybym miał powiedzieć: *Nienawidzę cię!*... albo: *Nóż ci wbije!* – to poszłoby jak z płatka. Tylko z *lubie cię* było tyle problemów. Ale stopniowo się uczyłem. Na przepustce spotkałem dziewczynę o siedem lat młodszą. Na początku jej nałgałem, że jestem drobny, złodziejaskim i niedługo wychocę do wolności. Spotykaliśmy się około trzech miesięcy. Nie przewidziałem wtedy, że się zakocham. Dalej kłamałem, co było trudne. Terapeuci przypominali mi, że już raz budowałem swój świat na iluzji i kłamstwie. Wreszcie napisałem jej w liście: kim jestem, co zrobiłem i jaki mam wyrok. Nie zapomniałem o manipulacji dodając na końcu... *Możesz mnie rzucić!* Jestem do tego przyzwyczajony!

Skutek był taki, że ona przyjechała po trzech miesiącach, a ja po czterech miesiącach oświadczyłem się jej w czasie widzenia. Ona te oświadczyły przyjęła. Dostałem pięć dni przepustki. Pojechałem i wziąłem ślub.

Kiedy wróciłem z przepustki, skuto mnie na bramie. Zabrano mi wszystkie uprawnienia. Przyjechał prokurator

i oskarżył mnie o szereg napadów na przepustkach. W więzieniu panował pokój...

Pani naczelnik wezwała mnie i powiedziała: Nie chcę znać szczegółów. Powiedz tylko, czy to prawda!?

Pomówienia wzięły się stąd, że ktoś, kto zorganizował serię napadów, podał mi do współnika. Całe szczęście, że terminy moich przepustek nie pokrywały się z datami napadów. Zanim sprawa się wyjaśniła, przez cztery miesiące nie miałem przepustek, mimo to byłem w dobrym nastroju, bo pani naczelnik miała do mnie zaufanie.

Oczekiwanie

Złożyłem podanie o zwolnienie warunkowe. W więzieniu miałem idealną opinię. Pracowałem, skończyłem szkołę, zdałem maturę. Sędzia, który rozpatrywał sprawę, stwierdził jednak, że w moim przypadku kara nie spełniła warunków społecznych. Nie wziął pod uwagę tego, że udało mi się założyć rodzinę i zupełnie zmienić środowisko. Powiedziałem sędziemu, że to rozumiem. Nie było we mnie nienawiści. Pomyślałem: Panie Boże, widocznie jeszcze nie dojrzałem do wolności. Jeszcze nie czas. Czekałem. Pisałem prośby o ulaskawienie. Chodziłem na przepustki, ale one mnie nie cieszyły. Uważałem, że jestem gotowy do życia na wolności, odpowiedzialny. Każda przepustka kończyła się wahaniem przed bramą: wejść, czy nie wejść? Myślałem o ucieczce, ale parę osób mi zaufało i zależało mi na tym, żeby nie zawieść tego zaufania – mimo że byli to klawiszowe.

Ostatni etap kary był najcięższy. Wracałem do celi, ale myślałem byłem już na wolności. Nie słyszałem i nie rozumiałem moich więziennych towarzyszy. Obawiałem się, że wrócę do punktu wyjścia, albo się zabiję, albo zwiariuję. W tym najcięższym psychicznie momencie dostałem ulaskawienie. W swojej prośbie o łaskę napisałem szczerze, że gdybym to ja był prezydentem, to takiej osobie ulaskawienia bym nie dał. W liście do prezydenta napisałem, to co czułem; jaki jest mój stosunek do przestępstwa, o krzywdzie, o marzeniach. Niczego nie pominąłem. Pan Bóg widocznie położył na tym rękę. Bo Bóg widocznie położył na tym rękę. Pan Bóg widocznie położył na tym rękę. Pojechałem na Rakowiecką na mityng *AA* i tam dopiero zaczęłam oddychać. Powietrza takiego nabrałem w piersi jak człowiek, który wychodzi na wolność. Czułem, że więzienie to moje miejsce. Nie dom, nie żona, nie moje obowiązki. Od razu odzyskałem humor, zacząłem się uśmiechać, ale mityng trwał tylko dwie godziny i trzeba było wrócić do domu. Udawałem, że się cieszę, ale byłem zagubiony. Wtedy zwinął mnie Marek (Marek Łagodziński, prezes fundacji *Stawek*). Podał mi rękę, której bardzo mocno się uciepiłem. Wiedziałem, że tylko z nim mam szansę. Spędzałem z nim całe dni; od rana do wieczora. Wszędzie jeździliśmy razem. Pokazywał mi świat, a ja uczyłem się go od nowa. Pierwszą niedzielę spędziliśmy w kościele, w Wilanowie.

Na wolności

Do życia na wolności przygotowywałem się w więzieniu. Wychodziłem na przepustki, z których wracałem na czas, bez negatywnych doświadczeń. Przygotowania trwały prawie trzy lata. Teoretycznie wydawało się, że byłem dobrze przygotowany. W praktyce okazało się jednak, że będąc wolnym, jestem odpowiedzialny za utrzymanie domu. Musiałem zatroszczyć się, żeby były pieniądze na czynsz, na żywność w lodówce, na kosmetyki dla żony i moje drobne wydatki. Wtedy uświadomiłem sobie, że nic nie umiem. To było przerażające! W dodatku rozchorowałem się na ospę. Nie miałem pieniędzy na lekarstwa. W domu nie było nic do jedzenia. Leżałem cały wysmarowany jodyną.

Pamiętam jak dziś, moja żona wyszła z przedpokojem i powiedziała, że tak dłużej nie może być. Wtedy coś we mnie pękło. Wcześniej usprawiedliwiałem się przed żoną, przed dzieckiem, nawet przed Bogiem. Mówiłem sobie... Wszyscy obiecywali, że mi pomogą. Mówili mi... Wyjdź, a my ci pomożemy załatwić pracę. Nic się nie martw. Żebyś tylko nie pił... Tymczasem zostałem sam.

Też myślałem o więzieniu, bo tam byłem kimś. Kimś ważnym. Na wolności byłem nikim!

Przez pierwszych trzynaście dni siedziałem ciągle w domu. Reperowałem kontakty. Czasem wychodziłem na spacer z dzieckiem i psem. Bardzo źle się czułem w roli ojca. Nie umiałem pchać wózka i wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą. Najchętniej siedziałem w domu, naprawiałem gniazdka i robiłem wszystko, tak jak w więzieniu.

Przerażliwie bałem się ludzi, bałem się ruchu ulicznego, tłumów. Po tych trzynastu dniach, kiedy dusiłem się wolnością i domem, postanowiłem wrócić do więzienia. Pojechałem na Rakowiecką na mityng *AA* i tam dopiero zaczęłam oddychać. Powietrza takiego nabrałem w piersi jak człowiek, który wychodzi na wolność. Czułem, że więzienie to moje miejsce. Nie dom, nie żona, nie moje obowiązki. Od razu odzyskałem humor, zacząłem się uśmiechać, ale mityng trwał tylko dwie godziny i trzeba było wrócić do domu. Udawałem, że się cieszę, ale byłem zagubiony. Wtedy zwinął mnie Marek (Marek Łagodziński, prezes fundacji *Stawek*). Podał mi rękę, której bardzo mocno się uciepiłem. Wiedziałem, że tylko z nim mam szansę. Spędzałem z nim całe dni; od rana do wieczora. Wszędzie jeździliśmy razem. Pokazywał mi świat, a ja uczyłem się go od nowa. Pierwszą niedzielę spędziliśmy w kościele, w Wilanowie.

Ja już byłem wtedy po stronie Chrystusa, sprawa stosunku do Kościoła i księży była jednak nadal niejasna. Księżę spostrzegałem jako wyniosłych. Czułem się przy nich jak śmieć. Wszliśmy wtedy z Markiem na plebanie w Wilanowie, spotkaliśmy księdza Arkadiusza, a on zaprosił nas na śniadanie. Nie wiedziałem wtedy, jak się zachować. Ksiądz zaprosił mnie na śniadanie! To było wielkie przeżycie. Rozmawiał z nami swobodnie. To był normalny facet! Tak spontanicznie i ciepło do mnie podszedł, że zburzył mój obraz księży. Jak wróciłem do domu, podzieliłem się radością z żoną. Ania robiła coś, a ja wziąłem ją za rękę i ciągnąłem do pokoju, mówiąc: *Chodź,*

muszę ci opowiedzieć, gdzie ja byłem i kogo poznałem... To było wielkie wydarzenie życiowe!

Latem tego samego roku z Markiem, Stawkiem i ks. Arkadiuszem pojechaliśmy nad morze. Tam poprosiłem Marka, żeby poszedł ze mną do spowiedzi. Poszliśmy razem, spojrzaliśmy na księdza i poczułem, że nie dam rady. Za chwilę na naszej drodze pojawił się inny ksiądz, dominikanin. Ile on dał mi wiary! Po tej spowiedzi złożyłem Bogu przyrzeczenia, które do dziś realizuję. Od tej pory minęło sześć lat, a ja ciągle jestem w drodze. Ale Pan Bóg mnie uratował! Dzięki temu, że ja się uratowałem, to parę innych osób się uratowało po drodze. Bo nie skrzywdziłem, nie upokorzyłem, nie zgnoilem. W więzieniu też kilku ludzi uratowałem, poprowadziłem, wstawiłem się. Tak jest do dnia dzisiejszego.

Swoją pierwszą pracę otrzymałem w *Wojskowych Zakładach Graficznych*. Początkowo miałem zarabiać 2 złote za godzinę. W pierwszym dniu pracy znowu przeżyłem blokadę. Dostałem kartę, którą miałem podpisać, czynając pracę. Widziałem, że wszyscy wkładają ją do zegara, a ja stałem jak koleś i nie wiedziałem, jak to zrobić. Myślałem, że wszystko umiem, a okazało się, że nie umiem odbić karty! Ile musiałem okazać pokory, kiedy podszedłem do ochroniarza i poprosiłem: *Panie, pokaż mi pan, jak się to robi...* Ile oporów przełamać w sobie. Ile fałszywej pychy i wyobrażeń, że prawdziwy mężczyzna musi wszystko wiedzieć. Pomogły mi te małe rzeczy, kiedy się przełamywałem i prosiłem ludzi o pomoc. Dzięki tym małym rzeczom, mogę dziś mówić o rzeczach wielkich: do żony, do księdza, do Marka, do ludzi. Więzienie ciągle do mnie wraca. Wierzę. I będzie jeszcze wracać. Często zastanawiam się nad swoim życiem. Nad tym, co zrobiłem zlego i nad tym, co osiągnąłem. Kiedy przypominam sobie złe rzeczy, czuję ból. Dlatego staram się pomagać innym. To jest spłacanie długu.

Izabela Sikora

Reklama wdiera się we wszystkie już niemal dziedziny życia ludzkiego. Nawet, gdy ktoś zdecyduje się nie korzystać z żadnych mediów, już w kilku pierwszych minutach spaceru po wyjściu z domu spotka kolorowy billboard, a od znajomych usłyszy slogan reklamowy pochodzący z najnowszego spotu w telewizji... Reklama jest w naszym życiu obecna, czy tego chcemy, czy nie. Świat i wartości, jakie ten przekaz promuje, wpływają (według badań prowadzonych nad reklamą) nawet na nasz światopogląd i postawy życiowe. Także na wizerunek kobiety, jaki wielu ludzi współcześnie posiada. W reklamach (szczególnie produktów codziennego użytku) to przede wszystkim panie są głównymi aktorkami i to do nich skierowane są przekazy perswazyjne. Jaka jest współczesna kobieta w mediach? Do niedawna sztucznie uwielbiana, obsypywana goździkami, tulipanami, czy różami, wyróżniona ofiarowaniem jej specjalnego święta... A dziś? Refleksja nad tym zagadnieniem jest ciekawa w miesiącu, który w Kościele uchodzi za maryjny, związany z kobiecością. W maju obchodzimy również święto jednej z najważniejszych kobiet w naszym życiu – Dzień Matki.

Być kobietą

Typy

Zasadniczo istnieją dwa obrazy kobiety w reklamie. Pierwszy jest tradycyjny – żona i matka. Robi zakupy, gotuje, sprząta, pierze... a wszystko to dla rodziny. Występuje jako ekspert w zakresie spraw domowych, dzieląc się poradami w trakcie licznych kontaktów towarzyskich. Nie pracuje (w domyśle), jak obecnie robi to większość pań. Ma bowiem czas na idealne doproszanie kochanym mężczyzną, wyciszczenie łazienki na blask, ugotowanie obiadu składającego się z wielu dań oraz jednoczesne dbanie o siebie... Wykonanie tego wszystkiego sprawia, że jest szczęśliwa – przede wszystkim dla najbliższych.

Drugi wizerunek przedstawia boginię seksu – kobietę wampa – zgrabną, ładną istotę, emanującą erotyzmem, obiekt westchnień i miłosnych pożądań mężczyzn, którzy nie mogą się jej oprzeć. Jest urodziwiska, używa najlepszych kosmetyków – to dla niej wszystko istnieje. Staje się bóstwem uwielbianym i podziwianym przez wszystkich. Gdy przechodzi nie ma mężczyzny, który by się za nią nie obejrzał pożądanym wzrokiem i nie ma kobiety, która nie spojrzy z zazdrością w tym samym kierunku...

Sporadycznie pojawia się również typ trzeci – kobieta wyzwolona. Prowa-

dzi szybko samochody, jest zaradna, samowystarczalna – prawdziwa *businesswoman*. Często ukazywana jest jako dziennikarka z mikrofonem w dłoni, z telefonem komórkowym, kartą kredytową czy *laptopem*. Ubrana zawsze bardzo elegancko, prowadzi poważne interesy, jest obeznana ze wszystkimi nowinkami technicznymi.

Stereotypy

Wizerunek kobiety w reklamie często oparty jest po prostu na stereotypach. Twórcy tych przekazów chcą, by były one skuteczne. Sięgają więc do *uproszczonych prawd*, opartych na powierzchownym i uogólnionym doświadczeniu. Reklama ma bowiem tylko kilka do kilkudziesięciu sekund na przekazanie potencjalnemu klientowi informacji i skłonieniu go ku prezentowanej usłudze, idei czy produktowi. Odwoływanie się do pewnych utrwalonych wzorców myślowych wydaje się więc idealnym rozwiązaniem.

Uproszczone obrazy to jednak nie wszystko, czego możemy się o kobiecie dowiedzieć z reklamy. Ten rodzaj przekazu stanowi cenne źródło informacji. Jest też ważnym instrumentem kreowania potrzeb, sposobów ich zaspokajania, stylu życia, czy wzorców osobowych. Reklama opowiada o marzeniach i na marzenia odpowiada. Odwołuje się do potrzeb, które mają kobiety, zasa-

mi miastety sztucznie je również tworząc. Warto więc zweryfikować reklamę: kiedy bazuje na doświadczeniu ludzkim, a kiedy zaś jest sztuczna.

Potrzeba dostrzeżenia

Z wielu reklam wynika oczywista prawda, iż kobieta chciałaby być piękna, zgrabna i atrakcyjna dla mężczyzny. Kupowanie kolejnego kremu na zmarszczki, pasty odświeżającej oddech czy *ulepszzonego* szamponu jest wyrazem potrzeby bycia zadbaną i zauważoną. Każda kobieta, niezależnie od wieku, chce być ładna i pragnie, by mężczyzna to docenił. Gdy jednak brakuje akceptacji ze strony płci *odmiennej*, gotowa jest zrobić wszystko, by zostać dostrzeżoną. Wówczas przefarbuje sobie włosy z blond na kruczoczarne, zacznie malować paznokcie na krwistoczerwony kolor, a powieki przykryte grubą warstwą cieni będą się ledwie otwierać... Mężczyzna, awaszem – zauważę, może nawet zachwyci się... aż do momentu, gdy dotknie pudru zamiast naturalnej skóry... Nie jest to oczywiście manifest przeciwko malowaniu się – delikatne podkreślanie urody jest atrakcyjne, jeśli pozostaje w granicach gustu i smaku. Jednak przesada nie jest nigdy wskazana. Reklama zaś często przesadą się posługuje i do niej namawia.

Piękno

Wygląd w życiu kobiety z reklamy odgrywa ważną rolę. W tym świecie istnieją tylko kobiety zadbane. To ekranowe piękno jest jednak iluzoryczne. Wizerunek kobiety w reklamie jest bowiem mozaiką różnych *elementów*. Idealny obraz dłoni, twarzy, włosów i innych części ciała jest po prostu komputerowym montażem fragmentów ciała różnych pań. Nienaturalny i niespotykany kolor oczu to efekt nałożenia na nie kolorowych szkieł kontaktowych, nadających żrenicy głębię i wyrazisty kolor. Paznokcie, przez wiele godzin pilowana, wygładzane i modelowane przez zespół *manicurzystek*, to obraz tworzony, aby oczarować widza ich perfekcyjnym wyglądem. Tak skonstruowany przekaz pokazuje oczywiście świat idealny, nie prawdziwy. Z drugiej strony jednak odbiorca wie, iż taka jest po prostu kon-



foto: P. Ziębiński

wencja reklamy.

Refleksja

Niebezpieczeństwo, związane ze stosowaniem stereotypów w reklamie, to traktowanie kobiety jedynie w kategoriach atrakcyjności cielesnej – w sposób uproszczony i negatywny. Obserwacja stereotypów reklamowych może jednak przynieść także pozytywny efekt. Jest bowiem okazją do rozmowy między kobietami i mężczyznami o wzajemnych potrzebach. Analizując programy telewizyjne, przeglądając kobiecą prasę lub słuchając audycji dla kobiet można otrzymać wiele informacji. Panie w reklamach piórą ubrania i przygotowują jedzenie dla rodziny, robią to z miłością i oddaniem, aby uszczęśliwić bliskich. Dopiero wtedy bowiem kobieta czuje się dobrze w swojej roli, gdy robi to dla kogoś, kogo kocha. Również wtedy, gdy wykonuje role kobiece – według najnowszych badań – częściej się uśmiecha! Wkłada wówczas w tę czynność wiele serca i zadowolona oczekuje na docenienie jej. Dzieli się przy tym własnymi przeżyciami i problemami

z innymi kobietami, szukając wsparcia, pomocy i mając potrzebę *wygadania* się lub poplotkowania.

Bodziec

Reklama może stać się dla kobiet bodźcem, do tego, aby dbały o swój wygląd. Mężczyźni zaś może uświadomić, że prawdziwe piękno nie jest kwestią idealnych proporcji ciała, czy grubej warstwy makijażu – lecz kwestią wzajemnego szacunku, miłości i akceptacji. Choć reklama często pokazuje piękno tylko zewnętrzne, przypomina jednak o jego potrzebie w życiu. Uświadamia nawet, że trzeba go szukać, troszczyć się o nie i samemu je tworzyć. Przekaz ten może również motywować do budowania relacji międzyludzkich na fundamencie znacznie trwalszym niż *cudotwórcza* moc kremów i pomadek. Swoisty ideał kobiety w reklamie zostanie wówczas zastąpiony budowaniem trwalszych, zdrowszych i zupełnie realnych kontaktów z kobietami z krwi i kości – z żoną, matką, córką czy babcią.

Monika Przybysz

Marek Klecel

Znak sprzeciwu

Chciałoby się powiedzieć – *tolerancja to zbyt mało*. Ale więcej, to już za dużo, to już fundamentalizm i polityczna niepoprawność, która wielu może się wydać źródłem antycnot. Z tej niechęci wynika też stereotyp Kościoła i religii. Stale pojawiają się zarzuty o tradycjonalizm Kościoła i jego nienadążaniu za demokracją. A czy Kościół ma nadążać, może odwrotnie, może to demokracja nie nadąża za Kościołem? Czy takie oskarżenie nie wyglądałoby obrazoburczo? Ale warto je sformułować, by zobaczyć panujący stereotyp o stosunku Kościoła do demokracji.

Stawiając tak kwestię jak poprzednio, widzi się w Kościele tylko jeszcze jedną instytucję społeczną lub partię, a nie wspólnotę o charakterze religijnym, a więc odwołującą się nie tylko do społecznego, ale do wielu innych wymiarów życia ludzkiego i rzeczywistości, a nawet do tych które je przekraczają. Nic dziwnego, że Kościół musi budzić nieporozumienia, a nawet wrogość, gdyż z powodów ignorancji i niechęci również się go nie toleruje, a nieraz odmawia mu się praw do publicznej obecności. Z powodów zaś, by tak rzec, metafizycznych Kościół był zawsze *znakiem sprzeciwu*, jest nim i teraz.

Demokracja europejska wiele zawdzięcza Kościołowi. Demokraci zaprzeczyliby sami sobie, porzucając głoszony przez siebie pluralizm, przyznając prawa wszelkim mniejszościom, a odmawiając ich takim wspólnotom jak Kościół, choćby w ten sposób, że wpływa się na jego wewnętrzny charakter bez należytej wiedzy i dobrej woli. ■

IN FLAGRANTI

Milczenie pana prezydenta

Pisałem niedawno o złych skutkach, używając słownictwa Piłsudskiego: *partijnictwa*. Rządzą krajem nie wybitni reprezentanci społeczności lokalnych, a osobnicy z nominacji partyjnych o ciasnych zazwyczaj horyzontach i żadnej wrażliwości moralnej, kierujący się wyłącznie interesem własnym i swej partii. Innych posłów wybierać nie możemy, albowiem uczestniczymy w wyborach proporcjonalnych.

No i proszę – dziennik *Rzeczpospolita* do 31 marca drukował apel, podpisywany przez nieskorumpowanych przedstawicieli nauki, kultury, publicystyki i polityki, skierowany do prezydenta RP o zmianę ordynacji na większościową, jednomandatową. Albowiem konsekwencją ordynacji proporcjonalnej są – jak się wyraził Jan Nowak-Jezioriański – *rządy oparte na układach biurokracji partyjnych, biznesu i interesów partykularnych, a nie ogólnonarodowych, państwowych*.

Mógłby tu ktoś powiedzieć, że ordynacja jednomandatowa, większościowa nie jest panaceum na wszystkie nasze dolegliwości publiczne. W rzeczy samej nie jest! Politycy i publicyści znają zarówno blaski, jak i cienie tego systemu wyborczego. Wszelako wydaje się, że rozkład moralny i polityczny naszego państwa jest już tak głęboki, iż tylko dzięki postulowanej ordynacji moglibyśmy powołać do sprawowania władzy jego uzdrowicieli. Tak mniema zresztą politolog Tomasz Żukowski, który na łamach *Tygodnika Solidarność* mówi, że skoro mamy kryzys klasy politycznej, która nie potrafi sprostać wyzwaniom stojącym przed krajem –

zmiana ordynacji może stanowić sposób na odblokowanie tej klasy.

Ale najważniejsze: jak zareagował adresat apelu – prezydent Aleksander Kwaśniewski? Zaraz po publikacji postulatu o zmianę ordynacji odezwał się publicznie sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta, były redaktor naczelny dziennika *Trybuna* Dariusz Szymczycha. Odpowiedział – wszelako nie wiadomo w czym imieniu: własnym czy prezydenta – wymijająco, że *określić jednomandatowe nie są odpowiednie w obecnej sytuacji politycznej w Polsce*. Dlaczego nieodpowiednie – tego jednak nie wyjaśnił. Dorzucił natomiast, o czym wszyscy wiemy, że stary system proporcjonalny jest zapisany w konstytucji, którą trzeba by więc zmieniać.

Politycy z *SLD* wypowiadający się przeciw wyborom większościowym, jednomandatowym nieustannie odwołują się do ustawy zasadniczej. Konstytucja zaś to rzecz święta i modyfikować jej nie wolno. Czyżby?

Adherenci dzisiejszego *SLD*, którzy w 90 procentach są dawnymi klientami *Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej*, zapominają, co w połowie lat siedemdziesiątych wyczyniał Edward Gierek – ówczesnie ich najwyższy przywódca, a dziś idol wielu Polaków, którzy do cna zagubili się w dziejowej zawiłości. I jedni, i drudzy nie chcą lub nie umieją pamiętać, że *PZPR* wprowadzała do *świętej*, nienaruszalnej konstytucji *PRL*, uchwalonej w roku 1952 pod czujnym okiem Stalina, tzw. *poprawki* – między innymi o *kierowniczej roli partii i wiecznym, na wieki wieków, sojuszu ze Związkiem Sowieckim*. Tym po-

prawkom sprzeciwiała się wówczas zdrowa część elity umysłowej naszego narodu, tudzież Kościół katolicki był przeciwny zarówno treści tych zapisów, jak i manipulowaniu konstytucją oraz opinią publiczną. Łatwo się domyślić, że owe protesty były daremne, jeśli nie liczyć represji, jakie dotknęły wielu sygnatariuszy listów protestacyjnych.

Czym zatem wytłumaczyć, że w połowie lat siedemdziesiątych pezetperowcy i ich klienci, nie bacząc na oczekiwania społeczeństwa, zmieniali ustawę zasadniczą, a dzisiaj politycy z *SLD* nie chcą przedłożyć sejmowi projektu wprowadzenia do konstytucji zmian umożliwiających wybory jednomandatowe – kunktatorstwem?

A czas płynie. Prezydent zapowiedział już nawet przedterminowe wybranie nowego parlamentu. Lecz jak będziemy głosować – po staremu, na partię? Tego jeszcze nie określił. Poseł Jan Maria Rokita 17 marca publicznie wzywał prezydenta: *Pan prezydent powinien zaprosić przywódców partii politycznych i zapytać, co o tym sądzą*.

Do pierwszej dekady kwietnia prezydent, abstrahując od wypowiedzi przedstawicieli jego kancelarii, w ogóle nie zareagował. Nikomu też w tej sprawie nie zaproponował żadnej rozmowy.

Jakie jest tedy znaczenie tego milczenia prezydenckiego? Złowrogie dla postulatu o zmianę ordynacji wyborczej, która mogłaby wreszcie położyć kres przerostowi *partijnictwa*? Niszczy ono przecież nasze państwo, które po czterdziestu latach powinno już wkroczać w wiek dojrzały, w czas sukcesów.

Powtórzmy więc: dlaczego prezydent milczy w tak ważnej kwestii? Trudno uwierzyć, iż mogłoby mu aż tak bardzo więcej niż na dobro kraju zależeć na tym, żeby politycy partii, z której on się wywodzi, wciąż i wciąż byli głównymi beneficjentami niepodległej Rzeczypospolitej, skoro przed rokiem 1989 strzegły politycznej i gospodarczej zależności Polski od obcego mocarstwa.

Jacek Wegner

Jan Pruszyński

Pustosłowie

Czytelnicy *Powściągliwości i Pracy* pamiętają zapewne omówione w numerze 10. z ubiegłego roku wielotomowe dzieło Tadeusza Kukiza o obrazach Matki Boskiej przywiezionych do Polski przez repatriantów z ziem kresowych. Godzi się wspomnieć o innych dziełach sztuki pozostających na Ukrainie, ponieważ przez dziesięciolecia pomijano milczeniem sprawy grabieży przez władze sowieckie skarbowi kultury, niszczenia dzieł sztuki, zabytków archiwów i wszystkiego, co było materialnym dowodem polskości ziem inkorporowanych do ZSRR. Warto wiedzieć, że na terenach zajętych przez ZSRR w 1939 roku znajdowały się nie tylko chaty ludu ukraińskiego, lecz także pałace i dwory, liczne muzea, biblioteki, galerie i kilka tysięcy kościołów katolickich. Były wśród nich wielowiekowe sanktuaria i miejsca pielgrzymek, zawierające obrazy otaczane szczególną czcią, naczynia i szaty liturgiczne, wybitne dzieła malarstwa, rzeźby i sztuki zdobniczej, pamiątki historyczne i wota będące dowodem wiary pokoleń.

Podwójnie zniechęcone przez władze sowieckie, z racji religijnych i narodowościowych stały się jedną z pierwszych ofiar agresji 17 września 1939 roku. Aresztowaniu kapłanów towarzyszyły spektakle wyszydzające religię katolicką z użyciem szat i paramentów kościelnych: wybijanie witraży, niszczenie obrazów, a następnie rabunek wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość materialną. Kościoły i klasztory zamieniano w areszty NKWD – dopuszczając się w nich masowych mordów. Tworzono w nich kluby *ligi bezbożników*, urządzano warsztaty, magazyny środków pędnych i chemikaliów trawiących freski i rzeźby drewniane, sławetne muzea ate-

izmu. Następnie przez dziesięciolecie dewastowano i niszczone, często z użyciem materiałów wybuchowych.

Znaczna część dzieł sztuki przepadła bez śladu, nieliczne pozostały w magazynach muzealnych. Niektóre z nich bywają – jak np. dzieła Pinsla, Sochaczewskiego czy Grotgera – *wypożyczone* na wystawy organizowane w Polsce. Władze Ukrainy ignorują fakt, że weszły w posiadanie zagrabionych przez sowieckiego okupanta skarbowi kultury polskiej, gromadzonych przez wieki staraniem i nakładem pieniężnym świątlichy obywateli ziem należących przez wieki do Rzeczypospolitej: pamiątek po władcach, mężach stanu i osobach zasłużonych dla kultury polskiej. Nazywają je *dziedzictwem kulturalnym narodu ukraińskiego*, choć większość dzieł nie ma dla nich żadnej wartości historycznych, patriotycznych ani religijnych. Nie dostrzegają też dobrej woli Polski widocznej w pomocy przy konserwacji licznych budowli zabytkowych, m.in. kościołów w Berdyczowie, Dąbrowicy, Hołobach, Lubomlu, Łucku, Kamieńcu Podolskim, Zbarażu, Żółkwi, Złoczowie, dworku Słowackiego w Krzemieńcu, nagrobków Daniłowiczów, Żółkiewskich i Sobieskich w Żółkwi, pomnika Adama Mickiewicza w Dobromilu, płyty pamiątkowej Mikołaja Reja w Żurawnie, czy lwowskiej nekropolii Orłat, upatrując w nich przejaw *polskiego szowinizmu*.

O tym, że porozumienie polsko-ukraińskie z dnia 26 czerwca 1996 roku o współpracy w dziedzinie ochrony i zwrotu dóbr kulturalnych utraconych i bezprawnie przemieszczonych podczas I i w wyniku II wojny światowej pozostaje aktem bez znaczenia, świadczy między innymi jeden – na pozór drobny, ale nader znamienny przykład.

Poszukując, znanej mi z opisu, rzeźby Matki Boskiej zakupionej u schyłku XIX wieku przez mego dziada – Czesława Pruszyńskiego i darowanej przez niego w 1927 roku memu Ojcu w prezencie ślubnym, odnalazłem ją we Lwowie. Dzieło to, klasycystyczny posąg z białego karraryjskiego marmuru, wykonany w 1875 roku przez znanego rzeźbiarza Cypriana Godebskiego – autora m.in. warszawskiego pomnika Mickiewicza – został (ze względów bezpieczeństwa) oddany w depozyt polskiemu *Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich* zaraz po wybuchu wojny polsko-niemieckiej 1939 roku i przypadkowo ocalał. Madona zapisana w inwentarzu Kartijnego Galerii jako *rzeźba nieznanego autora nr C-I-322* stoi w jej magazynie mieszczącym się w podziemiach dawnego *Ossolineum* pokryta nieścieranym od ponad półwiecza kurzem, który pozostawił głębokie cienie pod Jej oczyma.

Przekonany, że nie przedstawia ona dla *narodu ukraińskiego* żadnej wartości, biorąc też pod uwagę nieprzedawnialność praw depozytu, wystąpiłem pięć lat temu do *Pelnomocnika Rządu Rzeczypospolitej Polskiej do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą* i równocześnie do *Pelnomocnika Rządu Ukrainy do Spraw Zwrotu Dzieł Sztuki* z formalnym wnioskiem restytucyjnym, zobowiązując się równocześnie do darowania zwróconej rzeźby zbiorom *Zamku Królewskiego* w Warszawie na dowód współpracy obu narodów w dziedzinie kultury.

Wniosek ten, podobnie jak wiele innych, pozostał bez odpowiedzi, natomiast władze Ukrainy nazwały prawa do skarbowi kultury polskiej *politykierskimi uroszczeniami*. Opisana Matka Boska na próżno oczekuje zmiłowania ludzkiego, podobnie jak setki innych Jej podobizn, krucyfiksów i obrazów z kościołów wołyńskich zmagazynowanych w dawnym klasztorze bernardynskim w Olesku. Podkreślana na każdym kroku przez polityków współpraca polsko-ukraińska jest pustosłowiem. Jakże bowiem więzy mogą łączyć ograbionego z grabieżcami lub ich sukcesorami? ■

RECENZJA

Teologia codzienności

Ta dyscyplina nie jest jeszcze wykładana na uniwersytetach. Nie wiem też, czy kiedykolwiek uzyska akademicki status. Póki co, w ogóle nie istnieje. Jeśli jednak kiedyś zainteresowania naukowców zwrócić się ku *teologii codzienności*, to na pewno za jej twórcę uchodzić będzie mógł **Wojciech Kudyba**, zaś jego szkice zawarte w zbiorze *Słowa bliskie* uznane zostaną za klasyczny podręcznik tego nowego kierunku metafizycznej refleksji.

Autor doskonale zna uwikłania współczesnego człowieka. Pisał o nich w opowiadaniach drukowanych również na łamach *Powściągliwości i Pracy*. Wiele wie o wyobcowaniu i bezradności jednostki w coraz bardziej stehniczowanym świecie. Współodczuwa z odrzuconymi. Ostrzega zachwających i tych którzy sądzą iż są wszechpotężni, aby jednak stali się jak dzieci, skoro chcą dążyć do wznoszenia cywilizacji dobra. Namawia do pochylenia się nad najprostszymi uczuciami, do zaakcep-

towania i pielęgnowania wszystkiego, co pozytywnie stanowi o naszym człowieczeństwie. Przypomina o wartościach podstawowych, często zagłuszanych przez dookólną wrzawę zmateralizowanego świata – o cierpliwości, o poświęceniu, o poczuciu winy, o pożytkach, jakie niesie modlitwa. Jednocześnie, niczym gorliwy uczeń ks. Jana Twardowskiego, zwraca uwagę i na to, że dobry humor też do zbawienia może się przydać!

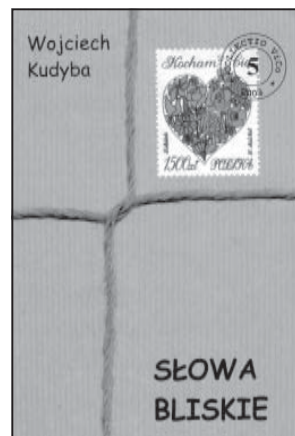
Celną charakterystykę temu zamieścił w słowie wstępnym **ks. prof. Jerzy Szymik**: – *Są to teksty bardzo proste. Niekiedy na granicy językowego ryzyka, na granicy słowa i milczenia. Ale też jest to prostota w pewnym sensie złudna: kryje pod spokojną powierzchnią słów trudną i skomplikowaną.../ drogę do ładu serca.*

Po lekturze *Słów bliskich* jedno zdaje się być pewne: gdyby każdy kroczył owym, wskazanym przez Wojciecha Kudybę duchowym szlakiem i potrafił

dostrzegać codzienność przede wszystkim w jej nadprzyrodzonym wymiarze, nasze życie z pewnością stałoby się łatwiejsze, a świat, w którym żyjemy bardziej przyjazny. Pelen ładu. Pelen serca.

Paweł Smogorzewski

Wojciech Kudyba, Słowa bliskie, Wydawnictwo *Alleluja*, Kraków 2003



Czym jest hierarchia? Cechą *normalnej*, czyli w istocie pogruchothanej natury człowieka, jest to, że spotykając bliźniego bardzo szybko – na podstawie niezliczonych wyuczonych kryteriów – sytuujemy się w hierarchii powyżej lub poniżej niego. Czasem po walce, czasem po negocjacjach, zwykle – rzecz jasna – bezrefleksyjnych. Jeśli godzimy się na jego dominację, przynajmniej w jakimś zakresie, zrekompensujemy sobie to w relacji z kimś innym. W ten sposób partnerskie relacje stają się niemożliwe, a powstaje hierarchia. Postęp wolności polega głównie na tym, że coraz więcej ludzi opiera się zajęciu miejsca w porządku dziobania. Dla coraz większych rzesz ludności Zachodu imperatywem jest nadużywane w reklamie hasło: *Bądź sobą!* Nowe więzi coraz częściej opierają się na partnerstwie

szczerem lub wymuszonym przez nową kulturę. Tak więc bycie sobą w założeniu jest wyzwoleniem z logiki dominacji. Faktycznie jednak oznacza przyjęcie innej, subtelniejszej dominacji anonimowych dyktatorów mody czy – nawet częściej – dyktatorów *stylów życia*. Wielość *lifestyles* w dużej mierze jest kontrolowana przez dostawców dóbr konsumpcyjnych, począwszy od żywności poprzez przemysł erotyczny, a skończywszy na filmach kończąc. Rzeczywista wspólnota równych i wolnych ludzi nadal pozostaje dążeniem, chociaż zapewne jesteśmy już bliżej niej. Kościół, który akceptuje wolność, jest dla świata wzorem wspólnoty wolnych ludzi. Hierarchia Kościoła, która porzuciła zwyczajnie ziemskich książąt, jest dla ludzkości wzorem nowej hierarchii autorytetu.

MM

Gazety opublikowały w marcu br. wyniki badań nad polską gospodarką. Okazuje się, że prawie 28 proc. *Produktu Krajowego Brutto* w Polsce pochodzi z tzw. *szarej strefy*. Szara strefa obejmuje tę część gospodarki, która nie jest ewidencjonowana ani przez urząd statystyczny, ani przez urzędy skarbowe. Obroty w szarej strefie ujmują się więc z konieczności szacunkowo, na podstawie innych uchwytnych danych, np. na podstawie poziomu zakupów towarowych, obrotu dewizowego w kantorach, wartości inwestycji budowlanych itd.

Pamiętam, jak w początkach transformacji ustrojowej, tj. gdzies w roku 1990, rozmawiałem z pewną panią, tzw.

businesswoman, o zmianie ustroju. Moja rozmówczyni bardzo sceptycznie oceniała tę zmianę: *Komunizm – powiedział – skończy się dla mnie wtedy, kiedy będę mogła zlikwidować lewy magazyn*. Podejrzewam, że od tamtej pory moja rozmówczyni nie tylko nie zlikwidowała lewego magazynu, ale jeszcze musiała uruchomić co najmniej dwa dodatkowe. Słowem – komunizm rozwija się u nas w najlepsze, a dobrą ilustracją tego procesu rozwojowego jest również dynamiczny rozwój *szarej strefy*. Kapitał bowiem, z czego wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, zachowuje się tak, jak człowiek. Jak go pieszczą, to mruczy i nadstawia się do karesów, a jak go biją, to ucieka.

Z okazji ogłoszenia rewelacji, że aż prawie 28 proc. polskiego *PKB* wytwarzane jest w *szarej strefie*, przeprowadzono badania, co na ten temat myśli społeczeństwo. Okazało się, że ponad 80 proc. pytanych uważa, że szara strefa jest albo *bardzo zła*, albo *zła*, albo *raczej zła* z punktu widzenia gospodarki. Zaledwie 11 proc. uważało, że jest ona dla gospodarki albo bardzo korzystna, albo korzystna, albo raczej korzystna. Reszta nie miała zdania. Te wyniki są bardzo ciekawe, niezależnie od tego czy są prawdziwe, czy nie. Mogą być bowiem nieprawdziwe w tym sensie, że

ludzie nie odpowiadali, co myślą o tym naprawdę, tylko jak wyobrażają sobie poprawną odpowiedź na takie pytanie. Jest to bardzo prawdopodobne, bo w wytworzeniu 28 proc. *PKB* w *szarej strefie* musi uczestniczyć znacznie więcej niż 11 proc. obywateli. Wyglądałoby zatem na to, że spora część ludzi bierze udział w procederze, który sama potępia. Nie wydaje mi się to wiarygodne i dlatego skłaniam się ku przypuszczeniu, że w przytoczonych wynikach badań tkwi potężny ładunek oportunisty i hipokryzji. Jeśli tak, to mieliby-

Dysonans poznawczy

Stanisław Michalkiewicz

śmy do czynienia z *szarą strefą*, że tak powiem, natury duchowej w rozmiarach znacznie większych niż *szara strefa* gospodarcza. Ciekawe, jakie doświadczenia w tym względzie mają, np. świadnicy. Ale to już inna historia. Przede wszystkim bowiem chciałbym zwrócić uwagę na to, że jeśli nawet wyniki tych badań są nieprawdziwe, to świadczą o ignorancji naszego społeczeństwa, a zwłaszcza jego warstw przywódczych, w sprawach gospodarczych. Zakładając bowiem, że respondenci dostrzegli się do spodziewanych oczekiwań i udzielali odpowiedzi *poprawnych* zamiast szczerych, zyskujemy obraz poglądów na gospodarkę, a na *szarą strefę* w szczególności, wyznawanych przez polską *szlachtę*. Jeśli ludzie odpowiadali szczerze, to tym gorzej, bo znaczy to, że niezrozumienie natury procesów gospodarczych jest w Polsce powszechne, a w takim razie szansa na stworzenie rozwojowego modelu państwa w warunkach demokracji politycznej jest bliska zeru. W warunkach demokratycznych można u nas wytworzyć wyłącznie model okupacyjny, z jakim mamy właśnie do czynienia. I tak źle i tak niedobrze.

Tymczasem z punktu widzenia ścisłe gospodarczego *szara strefa* jest wyłącznie bardzo korzystna. Można to udo-

wodnić, odwołując się do czterech sposobów wydawania pieniędzy, o których pisze Milton Friedman. Jak pamiętamy, o pierwszym z nich mówimy, gdy wydajemy własne pieniądze na własne potrzeby. Wydajemy wtedy najbardziej racjonalnie, bo i oszczędnie i celowo, doskonale znając własne potrzeby. O drugim sposobie mówimy, kiedy wydajemy własne pieniądze na kogoś innego; nadal oszczędnie, ale już niekoniecznie celowo, bo potrzeb tego innego nie znamy już tak dokładnie. Z trzecim sposobem mamy do czynienia, gdy wydajemy cudze pieniądze na nas samych; nie liczymy się z kosztami, ale przynajmniej wydajemy celowo. Sposobem czwartym jest wydawanie cu-

zych pieniędzy na kogoś innego; ani oszczędnie, ani celowo, zwłaszcza, gdy tych *innych* jest np. 38 mln. Otóż państwo wydaje pieniądze wyłącznie w sposób trzeci i czwarty, bo rząd nie wytwarza żadnego bogactwa, tylko wydaje *cuđe* pieniądze podatników. Obydwa te sposoby charakteryzują się rozrzutnością, a sposób czwarty dodatkowo jeszcze mamotrawstwem. Z punktu widzenia gospodarki pożądane jest więc unikanie wydawania pieniędzy i w sposób trzeci, czwarty, a nawet w sposób drugi. Z punktu widzenia gospodarki najlepszym sposobem wydawania pieniędzy jest sposób pierwszy. Z tym sposobem wydawania pieniędzy mamy do czynienia wyłącznie w *szarej strefie*, ponieważ tylko tam całe bogactwo wytworzone przez konkretne-go człowieka obracane jest na jego własne potrzeby inwestycyjne i konsumpcyjne. Zatem istnienie *szarej strefy* jest dla gospodarki wyłącznie bardzo korzystne, *quod erat demonstrandum*.

Inaczej wygląda to z politycznego punktu widzenia, ale ten punkt widzenia nie był w ogóle przez autorów pytań brany pod uwagę. Domagali się oni wyłącznie odpowiedzi oceniającej *szarą strefę* z punktu widzenia gospodarczego. W takim razie nie da się ukryć, że wyniki badań obnażyły głęboki i niepokojący dysonans poznawczy. ■

SŁOWNIK OD „Ż” DO „A”

Hierarchia

Kontrkultura *dzieci-kwiatów* uderzyła w logikę dominacji. Brak fundamentu skierował to uderzenie w stronę ojca i Boga. W warstwie ideologii atak na hierarchię sprowadza się głównie do hierarchii w rodzinie i wspólnocie religijnej, zwłaszcza w Kościele Rzymskim. Szukając wspólnoty ludzi wolnych, nasi współcześni odruchowo odwracają się od rodziny i Kościoła, sądząc, że są to ostatnie miejsca, gdzie może się spełnić ich tęsknota. Fakty często ich w tym utwierdzają.

Retoryka zwycięzców

Kiedy świat podzielony był na trzy komunizm i dobry kapitalizm, bez trudu umieliśmy oddzielić prawdę od urzędowej propagandy. Była ona zresztą tak prostacka i prymitywna, że często budziła zdumienie. Kiedy w 1968 czołgi Paktu Warszawskiego ruszyły na pomoc bratniej Czechosłowacji, aby uchronić jej socjalistyczne zdobycze przed zakusami światowego imperializmu i odwetowców zachodnoniemieckich, nikt nie miał wątpliwości, że chodzi wyłącznie o ugruntowanie sowieckiego panowania w tej części Europy. Tak samo rozumieliśmy agresję ZSRR na Afganistan w grudniu 1979 roku. Gazetowe frazesy, że Sowietci wyzwalają naród afgański spod nieludzkich rządów junty wojskowej, budziły w Polsce uśmiešek politowania, że można tak prymitywnie uzasadnić imperialistyczne zapędy. I chociaż fundamentalne siedmiotomowe dzieło Jana Kucharzewskiego dostępne było tylko w niektórych bibliotekach, a jego skrócona wersja krążyła w tzw. drugiej obiegu, nikt nie miał wątpliwości, że sowiecki komunizm to w istocie czerwony carat, kontynuujący geopolityczne plany caratu białego.

Zbieżność obu systemów była tym łatwiejsza do uchwycenia, że język sowieckiej (i narzuconej satelitom) propagandy politycznej niczym nie różnił się od propagandy czasów carskich. Tak więc, współczesnicząc w rozbiarach Rzeczypospolitej, Rosjanie nie byli agresorami, ale jedynie odzyskiwali swe prastare ziemie. Oceniając *Konstytucję 3 Maja*, Rosjanie twierdzili, iż uchwalono ją jedynie dlatego, że Polska chciała się wzmocnić dla przyszłej wojny z Rosją. Podbijając Gruzję, Rosja uwalniała ten kraj spod tyranii Persji i Turcji

(*Narodowości Zakaukazia, uciskane przez feudałów perskich i tureckich, oczekiwały wojsk rosyjskich*). Kiedy nie dawało się znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia historycy rosyjscy i sowieccy używali pojemnej formuły o neutralnej treści. Pisali na przykład tak: *Powoli, lecz konsekwentnie dojrzały w Azji Środkowej, na Zakaukaziu oraz na Zachodzie – w krajach bałtyckich – w ciągu całego XVII w. przesłanki, które uwarunkowały wcielenie tych obszarów w skład państwa rosyjskiego w XVIII wieku i w okresie późniejszym*. Natomiast podbicie i wcielenie Kazachstanu było nieuchronne z punktu widzenia rozwoju historycznego.

Kiedy Rzeczpospolita osłabła na tyle, że można było sięgnąć po łatwy łup, nazwano to – oczywiście! – *wyzwoleniem ziem zachodnioukraińskich*. Ma się rozumieć, że Rosjanie nie dokonali zbrojnej napaści, ale *rząd (rosyjski) realizował za zadanie na gruncie walki mas ludowych Ukrainy i Białorusi o jednoczenie z Rosją*.

Jeszcze do niedawna sądziłem, że tego rodzaju umysłowym prostactwem posługują się wyłącznie reżimy totalitarne i że z nastaniem dobrego kapitalizmu zniknie nowomowa, za pomocą której ulepsza się i cukruje rzeczywistość, przykrawając ją do własnych potrzeb. Bo przecież – rozumowałem naiwnie – ten, kto ma rację, nie musi uciekać się do retorycznej ekwilibrystyki, która na odległość pachnie propagandą. Moja prostoduszność była tak daleko posunięta, iż do głowy mi nie przyszło, że trzynastcie lat po obaleniu komunizmu polscy dziennikarze z własnej woli będą posługiwać się językiem, który do niedawna budził już nie tylko niechęć, lecz także – jeżeli pamię-

tamy stan wojenny – politowanie, a nawet rozbawienie. Oczywiście politycy, jak Bush czy Blair mają prawo mówić o boskiej misji czy wyzwoleniu Iraku czy Irakijczyków spod władzy krwawego tyra.

Jednak prześledzenie wojennej retoryki ostatnich trzech miesięcy daje sporo do myślenia. Najpierw padały oskarżenia o powiązania Iraku z bin Ladenem i Al Kaidą, ale gdy nie znaleziono na to dowodów, uzasadnieniem dla wojny miała być iracka broń masowego rażenia. Kiedy jej nie znaleziono, mówi się teraz o *wyzwoleniu*. A co zostanie powiedziane jutro czy za miesiąc, kiedy wyjdzie na jaw, że Irakijczycy nie akceptują amerykańskich porządków? Warto na te pytania odpowiedzieć uczciwie, jeśli się zważy, że Amerykanie bynajmniej nie byli skorzy do wyzwalania Czeczenów, chociaż doskonale wiedzieli, że Rosjanie dokonywali tam ludobójstwa. Zresztą gdyby Amerykanie rzeczywiście chcieli wyzwolić Irakijczyków, daliby wolność Kurdom. Ale tutaj – wara, ponieważ stoi to w sprzeczności z ich doraźnym interesem politycznym.

Za mało wiem, aby w sposób miarodajny ocenić to, co naprawdę dzieje się w Iraku. Kiedy jednak czytam w poważnym dzienniku słowa anonimowego fryzjera z Bagdadu, że po obaleniu Saddama Husajna *czuje się wolny*, nie mogę nie wiedzieć, że po rozbiore Polski w 1939 roku od tego rodzaju wypowiedzi aż się roilo w gazetach niemieckich i sowieckich. Ba, byli i tacy obywatele Polski, którzy sowieckich i niemieckich żołnierzy witali kwiatami. Czy był to miarodajny dowód czegokolwiek?

Każda propaganda ma dwa końce i krótkie ręce; zawsze, po jakimś czasie, wychodzi na jaw jej prawdziwe oblicze.

Andrzej W. Pawluczuk

Cytaty pochodzą z następujących książek:

Historia ZSRR do końca XVIII wieku, pod red. B.D. Grekowa, PWN 1954; *Historia ZSRR*, praca zbiorowa, t. I, Książka i Wiedza 1983

PLASTYKA

Jubileusz bez ikony

Stanowczo za krótko czynna była monumentalna wystawa prac jednego z najwybitniejszych współczesnych polskich malarzy prof. Jerzego Nowosielskiego z Krakowa. Zorganizowana w warszawskiej *Zachęcie* z okazji osiemdziesiątych urodzin artysty, udostępniona była dla zwiedzających tylko niewiele ponad miesiąc – od 22 marca do 27 kwietnia br. Rozmach i wysiłek organizacyjny, z jakim gromadzono prace Nowosielskiego i przygotowano specjalną przestrzeń ekspozycyjną, wart był przynajmniej dwumiesięcznej możliwości podziwiania tego wspaniałego przedsięwzięcia. Wystawa była niezwykła, tak jak niezwykłą osobowością jest sam prof. Nowosielski. Malarz, teoretyk sztuki, teolog, znawca prawosławia, myśliciel i pedagog. Wśród dziesiątek odznaczeń jakie otrzymał za swoją twórczość znalazły się: nagroda Episkopatu Polski – *Fundacji Dzieła Nowego Tyśiąclecia* i najwyższe odznaczenie Cerkwi Prawosławnej w Polsce – *Order Św. Marii Magdaleny*.

Podziwiając zebrane w *Zachęcie* obrazy i rysunki Nowosielskiego z wszystkich okresów jego malarskiej działalności, z pewnym zaskoczeniem

można było zauważyć nieobecność tak ważnego dla tego artysty wątku, jakim są dzieła sakralne wywodzące się ze sztuki ikon. Organizatorzy wystawy tłumaczyli to przemyśleniami i konstatacjami samego profesora, który niejednokrotnie powtarzał, iż: *sakralne, kultowe malarstwo nie powinno być często pokazywane na wystawach świeckich, jego miejsce jest gdzie indziej*. Słuszne są zarówno te, jak i inne słowa Nowosielskiego: *sztuka malarska, jeżeli jest dobra, cała należy w swojej istocie do domeny sacrum*. Powołując się na to ostatnie, jednak subiektywne zdanie profesora, kurator ekspozycji Andrzeja Starmach dość autorytatywnie orzekł, iż według niego nawet w swoisty sposób zmysłowe akty Nowosielskiego nie pozbawione są mistycznych znaczeń. Czym innym jest jednak doszukiwanie się wzniosłych podtekstów w portrecie np. *Pływaczki*, a co innego przeżywanie głęboko religijnych realizacji Jerzego Nowosielskiego wzbogacających dziesiątki polskich kościołów i cerkwi. Tego właśnie w tej wspaniałej, jubileuszowej wystawie zabrakło.

Jarosław Kossakowski



foto: P. Życkiński

Jerzy Trammer

By patrzeć

Przez lat czterdzieści zawsze w czerwcu obserwowałem góralską wieś – m.in. *sianokosy*. Z najwyższej góry widziało się aż po horyzont górceczki mniejsze, a na nich ludzkie mrówki przy robocie. Najpierw wszyscy kosili kosami. Stukot klepania kos przywozili na myśl jakieś pierwotne tajne sygnały. Zajęcie było długie, ciężkie. Angażowało całe rodziny, a nawet psy, które, podniecone, kursowały między koszoną łąką a zagrodą. Potem zjawiała się kosiarka konna, na koniec – traktor, a sianokosy skróciły się, przestały być robotą-wydarzeniem, wyczekiwanym moliżnym świętem, lecz odbywały się na drugim planie życia, jak gdyby mimochodem.

Z tego całego ciągu zmian szczególnie mocno zapamiętałem dwa momenty. Po pierwsze ten, gdy nastąpił pierwszy traktor. Jak butny poseł obcej potęgi poruszał się wśród mrowia kosiarek konnych i kosiarzy. Drugim momentem był ów czerwiec, gdy został tylko jeden kosiarz – małutki starszy góral. Niczym ostatni z praludu, który odszedł, sam jeden kosił wśród traktorów. Kosił, kosił i kosił, gdy inni w domu już dawno oglądali telewizję.

Ten pierwszy traktor był sensacją dla wczasowiczów, miejscowych dzieci i dla wycieczek szkolnych. Chodziło się jak do teatru na występ traktorzysty, nie widząc w koszących obok kosiarek czy kosiarzach nic szczególnego.

Podobny teatralny status uzyskał wiele lat później ostatni kosiarz ręczny. Całe wycieczki przybywały, by patrzeć, jak on kosi, a na traktory nikt nie chciał nawet spojrzeć – już utraciły rangę aktorów spektaklu, widowiska.

Po kilku latach ostatni kosiarz zaprzestał koszyć kosą, a sianokosy dla swych widzów straciły rangę i znaczenie. ■

PRZEGLĄD PRASY

Na marginesie

W cieniu medialnego widowiska, jakie z wojny w Iraku zrobili nasze gazety, rozgrywa się po cichu i przy coraz większej obojętności tragedią ponad miliona polskich rodzin. Liczba bezrobotnych zbliżyła się do trzech i pół miliona. Według miarodajnych szacunków ekonomistów krajowych i europejskich ludzi bez pracy będzie w Polsce przybywać. Jeszcze w tym roku co piąty dorosły Polak znajdzie się na bruku, a procentowy wskaźnik bezrobocia przekroczy zakłęta liczbę 20, sytuując nas w towarzystwie najbiedniejszych państw Ameryki Południowej.

W najgorszej sytuacji są ludzie młodzi – w wieku 25-30 lat, w tym coraz większa liczba absolwentów wyższych uczelni, a więc osoby z dyplomami inżynierów i magistrów. Jak informuje *Gazeta Wyborcza* (11.04), w tej grupie wiekowej pracuje niewiele więcej niż połowa – dokładnie 60 procent. A więc prawie co drugi młody człowiek nie może zarobić na swoje utrzymanie. Trzeba jednak wiedzieć, że te liczby są mocno zaniżone, albowiem kilkaset tysięcy pracowników (a więc osób oficjalnie pracujących) przychodzi do pracy, ale nie otrzymuje na czas wynagrodzenia; w skrajnych (ale nie tak rzadkich) przypadkach ludzie ci nie otrzymują pensji nawet przez kilka miesięcy. A dodajmy jeszcze ukryte bezrobocie na wsi: liczba miliona osób na pewno nie będzie przesadzona. Okaże się w ten sposób, że bezrobotnych mamy około pięciu milionów, co daje wskaźnik bliski 30 procent ogółu zatrudnionych. A taka liczba umiejscawia Polskę już nie na poziomie Gwatemali i Hondurasu, ale na poziomie takich krajów jak Indie, Mongolia czy Somalia.

Jednak nawet z oficjalnym wskaźnikiem 20-procentowego bezrobocia jesteśmy na samym końcu Europy (biorąc pod uwagę kraje Unii i dziesięć krajów kandydackich). Daleko nam nie tylko do

Czech, Cypru i Słowenii, lecz także republik posowieckich.

Zresztą i inne liczby sytuują nas na samym końcu. Oto bowiem przy naszym, prognozowanym na 2003 roku wzroście gospodarczym niecałe 2 procent, (*Rzeczpospolita*, 9.04) Węgry mają mieć 3,7, Słowacja – 3,4, Litwa – 4,5, zaś Estonia – 5,2. Tak oto po trzynastu latach transformacji ustrojowej, popartej dumą, że my Polacy, obaliliśmy komunizm w Europie, Polska postrzegana jest jako zakąła jednoczącej się Europy i zupełnie słusznie przydziela nam się miejsce w *osłej lawce*.

Dotyczy to zresztą nie tylko spraw gospodarczych. Tzw. *trójka weimarska*, z którego nasi politycy i publicyści byli tak dumni, jako że czynił z nas sojusznika Francji, Niemiec, został ostatnio zastąpiony osią Paryż – Berlin – Moskwa. Sojusz niemiecko-rosyjski był zawsze zmorem Polski. Jak uczy historia ostatnich 250 lat, z takiej bliskiej współpracy nigdy dla Polaków nie wynikało nic dobrego. Jeżeli przypomnimy sobie rozbiory oraz pakt Ribbentrop-Mołotow, wielu czytelników może się roześmiać. Ale dzieje Polski pouczają, że *status quo* nie potrwia wiecznie, wszystko się zmienia. W VIII wieku Polacy mawiali, że Polska jest tak słaba, że nikt na nią nie będzie napadał. Z doświadczeń XX wieku pamiętamy co innego: Związek Radziecki, tak jak komunizm, miał być nieśmier-

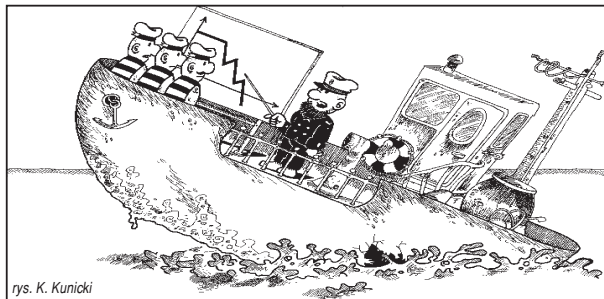
telny (w co wierzono także w USA), a rozpadł się jak domek z kart. W latach 1939 – 1944 wierzyliśmy w Anglię i Francję, a w Jalcie oddano nas w pacht Sowietaom, chociaż zważywszy nasz wkład w walkę z Niemcami to nam, a nie Francji, należała się strefa okupacyjna w rozgromionej III Rzeszy. Czy trzeba więcej przykładów, że każdy kraj pilnuje przede wszystkim własnych interesów i nie ogląda się na słabszego, chociaż podpisał z nim traktaty i umowy? Czy Polak zawsze musi być, jak pisał Kochanowski: *przed szkodą i po szkodzi głupi?*

Lata po 1989 roku dowodzą, że nasi politycy myślą nie o interesie Polski, ale o nabiciu *kabzy* własnej i swoich rodzin. *Gazeta Wyborcza* (1.04) nazywa to po imieniu: *funkcjonuje w Polsce coś, co nazwać można plemiennym kapitalizmem...* W znalezieniu pracy nie liczą się kompetencje zawodowe czy wykształcenie, ale koligacje: rodzinne, koleżeńskie i partyjne.

Kolejne ekipy rządzące traktują Polskę jako dojną krowę: astronomiczne pensje, także premie (ostatnio w *Kasie Chorych*), lukratywne posady w bankach i spółkach *Skarbu Państwa* (nawet po kilkaset tysięcy złotych miesięcznie!). Kogóż więc obchodzi Polska? *Bez wład Leszka Millera* – (zauważa *Newsweek* z 13.04) – *to wymarzona sytuacja dla polityków drugiej i trzeciej linii. Teraz swoje interesy mogą kręcić zupełnie spokojnie.* A dalej *Newsweek* komentuje: *Nie ma strategii, nie ma żadnych planów, są tylko układy towarzysko-finance...*

Quo vadis, Poloniae?

AWP



Wydawca Miesięcznika PiP:
Wydawnictwo **MICHALINEUM**
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia Św. Michała Archanioła.
Dyrektor Wydawnictwa Michalineum
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje Zespół:
red. naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771 45 95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:
PiP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k/Warszawy.
Telefon Wydawnictwa: (22) 781 16 40.

Skład, łamanie, druk:
Drukarnia **MICHALINEUM**.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł.
Opłatę na prenumeratę należy wpłacać na konto:

**PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
55-10201042-122-460033**

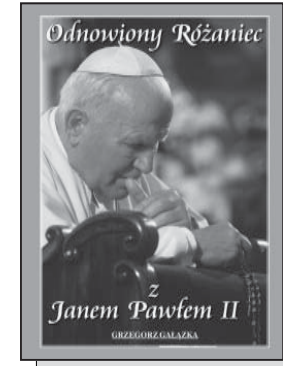
W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy. Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym. W przypadku większej ilości egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na czasopismo
prosimy kierować na adres:
Wydawnictwo **MICHALINEUM**
(Dział Kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. (22) 781-14-20.

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością
egzemplarzy archiwalnych.

Czasopismo można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katynia 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych



W Liście Apostolskim *Rosarium Virginis Mariae* Ojciec Święty, Jan Paweł II, gorąco zachęca wiernych **do odmawiania różańca**. Skuteczności tej modlitwy zawierza dzisiaj szczególnie sprawę pokoju w świecie i rodziny: *Różaniec ze swej natury jest modlitwą pokoju z racji samego faktu, że polega na kontemplowaniu Chrystusa, który jest Księciem Pokoju i «naszym pokojem» (Ef 2, 14). Kto przyswaja sobie misterium Chrystusa – a różaniec właśnie do tego prowadzi – dowiaduje się na czym polega sekret pokoju i przyjmuje to jako życiowy projekt...*

Jako **modlitwa o pokój**, różaniec był zawsze **modlitwą rodziny i za**

rodzinę. Niegdyś modlitwa ta była szczególnie droga rodzinom chrześcijańskim i niewątpliwie sprzyjała ich jedności. Właśnie dzisiaj należy zadbać o to, by nie roztrwonić tego cennego dziedzictwa. Trzeba powrócić do modlitwy w rodzinie i do modlitwy za rodzinę, wykorzystując nadal tę formę modlitwy.

Rodzina, która modli się zjednoczona, zjednoczona pozostaje. Różaniec święty, zgodnie z dawną tradycją, jest modlitwą, która szczególnie sprzyja gromadzeniu się rodziny. Kierując wzrok na Jezusa poszczególni jej członkowie odzyskują na nowo również zdolność patrzenia sobie w oczy, by porozumiewać się, okazywać solidarność, wzajemnie sobie przebaczać, by żyć z przymierzem miłości odnowionym przez Ducha Bożego. Liczne problemy współczesnych rodzin, zwłaszcza w społeczeństwach ekonomicznie rozwiniętych, wynikają stąd, że coraz trudniej jest się porozumiewać. Ludzie nie potrafią ze sobą przebywać, a być może nieliczne momenty, kiedy można być razem, zostają pochłonięte przez telewizję.

Podając na nowo odmawianie różańca w rodzinie znaczy wprowadzić do codziennego życia całkiem inne obrazy – ukazujące misterium, które zbawia: obraz Odkupiciela i obraz Jego Najświętszej Matki. Rodzina, która odmawia razem różaniec, odtwarza poniekąd klimat domu w Nazarecie: Jezus stawia się w centrum, dzieli się z Nim radości i cierpienia, w Jego ręce składa się potrzeby i projekty, od Niego czerpie się nadzieję i siłę na drogę.

Wydawnictwo Michalineum oddaje do rąk P.T. Czytelników album, ze zdjęciami **Grzegorza Gałązki**, poświęcony Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II (taki urodzinowy prezent) i modlitwie różańcowej. Mam nadzieję, że publikacja ta przyczyni się do rozpowszechniania tej tradycyjnej modlitwy, odnowionej przez Papieża (który dodał do niej nowe tajemnice – *świata*) oraz do umocnienia rodzin i pokoju w świecie.

Album można zamówić pod następującym adresem:

Wydawnictwo Michalineum
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. (22) 781 14 20, fax (22) 771 36 1
e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 25 zł plus koszt wysyłki.